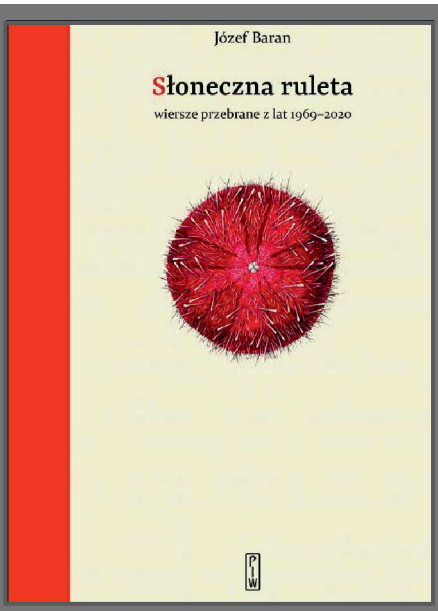

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXVI Nr 4(296) Zelów, kwiecień 2021

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Ignacego S. Fiuta, Barbary Gajewskiej, Hiacynta Górnickiego, Michała Kaczmarka, Zdzisława Lipińskiego, Macieja Mazurka, Marka Słomiaka, Juliusza Wątroby

Andrzej Dębkowski – *Marzenia za światem Daisy*

Leszek Żuliński – *Poeta wysokiej klasy*

Józef Baran – *Spadając, patrzeć w gwiazdy* (61)

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności* (174)

prof. Ignacy S. Fiut – *Odsłony wędrówki poety* oraz *Poezja z cienia zarazy*

Stefan Jurkowski – *Poezja i wydmuszki*

Joanna Friedrich – *Gabinet cieni. Romantyczny brutalizm*

Andrzej Walter – *Poeta zagubionych serc*

Kazimierz Ivosse – *Dzienniki czasu zarazy*

Mirosław Osowski – *Moja walka z rakiem* (19)

Anna Maria Tryba – *Klient musi być zadowolony. Nieporozumienia wykluczone – cz. III*

Tadeusz Stolarski – *Jana Stępnia mądre słowa w... „Ciszy”*

Igor Mostowicz – *O świecie, który przeminął*

Mirosław Grudzień – *„Wierszariusz słowiański” Izabeli Zubko*

Witryna

Opinie

Noty

Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkice

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia

Kronika

Nie żyje Adam Zagajewski

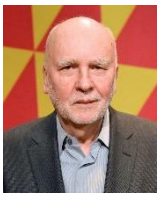

21 marca br. w Krakowie zmarł **Adam Zagajewski** – jeden z liderów literackiego pokolenia '68, wybitny poeta i eseista.

Urodził się we Lwowie w 1945 roku. Jako poeta zadebiutował w 1967 roku na łamach „Życia Literackiego". Publikował także w „Odrze" i „Twórczości". W 1968 roku współtworzył krakowską grupę poetycką „Teraz", postulującą powrót do klarowności języka poetyckiego. Zagajewski wraz z Julianem Kornhauserem stworzyli program ideowo-artystyczny formacji poetyckiej Nowa Fala, którego autorzy apelowali o pokazanie w sztuce „świata nie przedstawionego".

Pierwsze książki poetyckie Zagajewskiego – „Komunikat" (1972) i „Sklepy mięsne" (1975) – stanowiły właśnie realizację nowofalowego postulatu mówienia prawdy o otaczającej rzeczywistości i obnażania fałszu oficjalnego języka.

Zagajewski, związany z opozycją demokratyczną, po proteście wobec projektowanych zmian w Konstytucji PRL został w 1975 roku objęty zakazem druku. W 1976 roku współtworzył i redagował niezależne pismo „Zapis". W 1982 roku wyjechał do Paryża, gdzie współpracował z miesięcznikiem „Kultura" i „Zeszytami Literackimi". Powrócił w 2002 roku i zamieszkał w Krakowie.

Jest autorem takich zbiorów wierszy jak m.in. „List. Oda do wielości" (1983), „Jechać do Lwowa" (1985) oraz „Płótno. Paryż" (1990) „Ziemia ognista" (1994), „Trzej aniołowie" (1997), „Pragnienie" (1999), „Asymetria" (2014), „Lotnisko w Amsterdamie" (2016), „Prawdziwe życie" (2019). Cenione były także jego tomy eseistyczne takie jak „Dwa miasta" (1991) „W cudzym pięknie" (1998), „Obrona żarliwości" (2002), „Poeta rozmawia z filozofem" (2007), „Substancja nieuporządkowana" (2019).

Na łamach miesięcznika „Znak" tak pisał o przeżywaniu żałoby: *To nawet nie jest jeszcze żałoba, to ból i bunt w stanie czystym, a słowo „żałoba" już zawiera w sobie pierwiastek rezygnacji, paktowania z tym, co się stało. Lecz w pierwszym momencie nie ma jeszcze słów, nie ma zgody, nie ma rezygnacji. Jest tak, jakby otworzyła się dziura w istnieniu. To jest trzęsienie ziemi otwierające przepaść. Moment płaczu i wściekłości, kiedy Logos jest bezradny. Logos dyskretnie odsuwa się na bok. Potem ta szczelina powoli, stopniowo zamyka się i zaczyna się długotrwały proces żałoby, zaczynamy ostrożnie chodzić po kładce nad rozpadliną; z czasem blizna zmienia kolor i prawie upodabnia się do zdrowej skóry. Są jednak śmierci, z którymi nie można się pogodzić.*

Zmarł Jacek Łukasiewicz

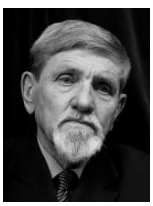

7 marca br. we Wrocławiu zmarł **Jacek Łukasiewicz** – polski poeta, krytyk literacki, historyk literatury, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego. Urodził się 21 czerwca w 1934 roku we Lwowie. Autor dziewięciu tomów poezji oraz licznych publikacji krytyczno- i historycznoliterackich.

Po zakończeniu II wojny światowej wraz z rodziną i innymi Polakami przymusowo wysiedlony z rodzinnego miasta. Szkołę powszechną i średnią ukończył w Lesznie, a studia polonistyczne we Wrocławiu (1951-1955). Pracę magisterską na temat recepcji poezji J. Kochanowskiego przygotował na seminarium prof. Tadeusza Mikulskiego. W roku 1972 obronił rozprawę doktorską o polskiej tradycji poetyckiej w liryce współczesnej. Habilitował się w 1980 roku na podstawie pracy *Mieczysława Jastruna spotkania w czasie.*

Debiutował w prasie w roku 1952, zaś jego pierwsza książka – tomik poetycki *Twoje i moje* ukazała się siedem lat później. Przedmiotem zainteresowania Łukasiewicza jako krytyka jest powojenna poezja polska. Jacek Łukasiewicz jest autorem prac naukowych, zbiorów analiz i esejów takich jak przełomowa dla pokolenia Współczesności, wydana przez Bibliotekę *Więzi* książka *Szmaciarze i bohaterowie* (1963). W kolejnych latach powstały tomy: *Zagłoba w piekle* (1965) – rozważania o tradycji literackiej w twórczości współczesnej, *Republika mieszańców* (1974) oraz *Rytm, czyli powinność. Szkice o książkach i ludziach po roku 1980* (1993), jak również inne, trwale znaczące tytuły na temat współczesnej literatury polskiej: *Laur i ciało* (1971), *Ruchome cele* (2003), *Jeden dzień w socrealizmie i inne szkice* (2006) i ostatnio wydane *TR – Tadeusz Różewicz* (2013). Autor stworzył w nich intrygujące interpretacje utworów m.in. Miłosza, Różewicza, ks. Twardowskiego, Karpowicza, Szymborskiej, Herberta, Terleckiego, Kozioł, Barańczaka, Rymkiewicza, Szubera, Sobkowiaka.

Współpracował z wieloma pismami, m.in. z „Akcentem", „Odrą", „Tygodnikiem Powszechnym", „Arkuszem". Jego liryka swój wyraz znalazła m.in. w zbiorach: *Moje i twoje* (1959), *Zabawy zimowe* (1968), *Podróże* (1976), *Czas nie dopełniony* (1998), *Stojąca na ruinie* (2011). Jacek Łukasiewicz jest również autorem licznych monografii: *Mieczysława Jastruna spotkania w czasie* (1981), *Mickiewicz* (1996), *Herbert* (2001), *Grochowiak i obrazy* (2002). Za książkę *Herbert* nominowany był do Nagrody Literackiej Nike 2002.

Jest laureatem Nagrody Literackiej PEN Clubu i Nagrody im. Kazimierza Wyki za całokształt twórczości krytycznej i eseistycznej oraz finalistą Nagrody Poetyckiej Orfeusz 2012 za tom *Stojąca na ruinie* i laureatem Nagrody Osobnej Miasta Gdynia 2013 za książkę *TR – Tadeusz Różewicz.* Otrzymał także nagrodę Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich z Toronto w dziedzinie literatury. Nominowany do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius" 2019 za tom *Wiązania.*

(Fot. w tekście: Karol Serwis https://www.facebook.com/MiesiecznikTworczosc/posts/2226569244139876

Konkursy

Małopolska Nagroda Poetycka „Źródło"

Skład jury konkursowego: **Józef Baran** – poeta, prozaik, autor ponad 30 książek, juror wielu konkursów poetyckich (przewodniczący Jury), **Jadwiga Malina** – poetka, redaktorka kwartalnika „Czas Literatury", sekretarz Krakowskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, **Beata Paluch** – aktorka Narodowego Starego Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie, interpretatorka poezji, **Adam Ziemianin** – poeta, dziennikarz, twórca inspirujący wykonawców poezji śpiewanej

Konkurs ma charakter ogólnopolski, otwarty. Mogą w nim brać udział osoby pełnoletnie, zarówno poeci polscy z kraju, jak i z zagranicy.

Tematyka utworów powinna nawiązywać do idei Konkursu. Mile widziane są wiersze inspirowane nazwą Konkursu Poetyckiego „Źródło" i jego mottem. Forma utworów jest dowolna. W tym roku ze względu na panujące obostrzenia podjęliśmy decyzję o przyjmowaniu zgłoszeń wyłącznie drogą e-mailową.

Warunkiem udziału w Konkursie Poetyckim jest nadesłanie do Organizatora od trzech do czterech utworów poetyckich. Prace konkursowe powinny być przesłane w postaci plików pdf opatrzonych godłem słownym i tytułem, a w przypadku braku tytułu pierwszym wersem (każdy wiersz w osobnym pliku). Rękopisy nie będą brane pod uwagę.

Uwaga! Utwory nie mogą być wcześniej publikowane ani nagradzane w innych konkursach. Pod pojęciem „publikacji" rozumie się wydawnictwa zwarte (wydane drukiem książki, czasopisma oraz antologie wierszy).

Prawidłowo przygotowane zgłoszenie do konkursu powinno zawierać:

a) prace konkursowe jak opisano w pkt 4-8 Regulaminu;

b) skan lub zdjęcie odręcznie podpisanego Oświadczenia o akceptacji Regulaminu Konkursu Poetyckiego oraz zgody na wykorzystanie prac konkursowych i wizerunku (Załącznik nr 1);

c) skan lub zdjęcie podpisanej odręcznie informacji o przetwarzaniu danych, zgodnie z RODO;

d) skan lub zdjęcie wypełnionego i podpisanego odręcznie formularza z danymi osobowymi;

e) skan, zdjęcie lub dokument pdf wygenerowany z banku – potwierdzenie dokonania opłaty akredytacyjnej.

Każdy uczestnik Konkursu Poetyckiego zobowiązany jest do wniesienia opłaty akredytacyjnej w wysokości 30 zł. Opłatę akredytacyjną należy wpłacać na rachunek Organizatora na konto i w sposób opisany w Regulaminie. Prace osób, które nie wniosły opłaty akredytacyjnej nie zostaną dopuszczone do konkursu.

Laureaci Konkursu Poetyckiego zostaną uhonorowani nagrodami i wyróżnieniami pieniężnymi o łącznej puli 9 tysięcy złotych: I nagroda – 3 000 zł; II nagroda – 2 000 zł; III nagroda – 1 000 zł oraz 5 wyróżnień po 500 zł. Nagroda Specjalna za utwór związany z regionem Małopolski.

Jury zastrzega sobie prawo do innego podziału nagród.

Prace konkursowe powinny być przesłane do 25 czerwca 2021 roku (piątek) na adres: poezja@csm.tarnow.pl z dopiskiem: *Nagroda Poetycka „Źródło"*. Prace nadesłane po ww. terminie nie wezmą udziału w Konkursie Poetyckim.

Opłatę akredytacyjną należy wpłacić do 25 czerwca 2021 roku na konto Organizatora podane w Regulaminie.

Rozstrzygnięcie Konkursu Poetyckiego i wręczenie nagród nastąpi w październiku 2021 roku podczas uroczystej gali.

Szczegółowy regulamin: https://csm.tarnow.pl/wydarzenie/1032,malopolska-nagroda-poetycka-zrodlo-edycja-piata?fbclid=IwAR03z25pz8NG4a-A8KvA6UsJvo-qAst_obYGWGvTDmMFsRl-heJJ0SbE79hg

Andrzej Walter

Poeta zagubionych serc

Nie pisałem jeszcze nigdy o jednym z najlepszych polskich poetów przełomu wieków, o którym sam mistrz Artur Sandauer napisał kiedyś, że swoją liryką trafia prosto do ludzkich serc. Jednym słowem nie napisałem nigdy o **Józefie Baranie**.

Przyznam się szczerze sam przed sobą, a chyba i przed Wami, że tego właśnie poetę odkładałem zawsze na pewną: własną, indywidualną i osobną półkę biblioteczną, niemal w taki zaginiony świat uniwersum wyrazu niepowtarzalności twórczości poetyckiej. Dla mnie Józek Baran jest, był i pozostanie poetą innym, niemal klasykiem, poetą indywidualnym, poetą, którego słowa brzmią jakoś same sobą i kreują w pewnym sensie własny świat, którego już tak naprawdę się skończył, którego już nie ma.

Jego staromodność, albo nazwijmy rzecz godniej: starodawność w poezji, jego niepowtarzalny, acz bardzo osobisty i własny styl oraz charakterystyczny język liryczny zawsze mnie zaskakiwał, zadziwiał i fascynował.

Wiele już przecież napisano o Jego twórczości. Jest dziś chyba jednym z najbardziej rozpoznawalnych polskich poetów, swego rodzaju mistrzem słowa i przekazu oraz wręcz lirycznym *„towarem eksportowym”*, jeśli nieco strywializujemy (postnowoczesnością) nasz język rzeczywistego i prozaicznego postrzegania. Jednak nie da się ukryć, że wiersze Barana nigdy nie pozostawiają nikogo obojętnym. Są autonomiczne. Oryginalne. Hermetyczne. Jakby opracowana w pocie czół *szczepionka z poezji*, na przekór kulturze słowa, która podobno się kończy.

Nic się jednak nie kończy, choć w wierszu „Historio historio...” Józef Baran pisze (pisze bez ogródek, acz smutno, chyba trafiając głęboko ... do naszych serc) tak...

i ty poezjo
kopciuszku
przewlekający
przemijalne chwile
przez ucho igielne
liryki
(...)
ocalaj
to co pomija
ślepa na kolory
głucha
na śpiew pojedynczej duszy

historia

Ocalaj, poezjo. To co pomija, coraz brutalniej pomija, niszczy, plami i wyszydza tę skrzeczącą rzeczywistość. Jeżeli chcecie się oderwać. Uwolnić. Chcecie i łakniecie wytrawności słowa i wyjątkowej, spokojnej, cichej, bardzo prywatnej i osobistej lektury bogatej w różnorodne stany, problemy, spojrzenia: na piękno i na bolączki współczesne i chcecie się zatopić w tekstach znakomitych to musicie, powinniście wziąć do ręki właśnie tom poezji Józefa Barana, zawierający wiersze z lat 2015-2020, zatytułowany z przekąsem - „W wieku odlotowym”.

To tom: pokaźny, bogaty, zawierający niemal dwieście wierszy, podzielonych w pewnym sensie na rozdziały (odnoszę wrażenie, że tematyczne, acz można by rzecz ująć, że dzielące te wiersze na pewne stany duchowe, czy też perspektywy spojrzenia). Tom ten jednak trzyma się pewnej idealistycznej całości, w centrum której zawsze był, jest i pozostanie: człowiek, człowiek bardzo nam bliski... choć być może nawet tam... to po prostu my, ale po „tamtej” stronie zwierciadła.

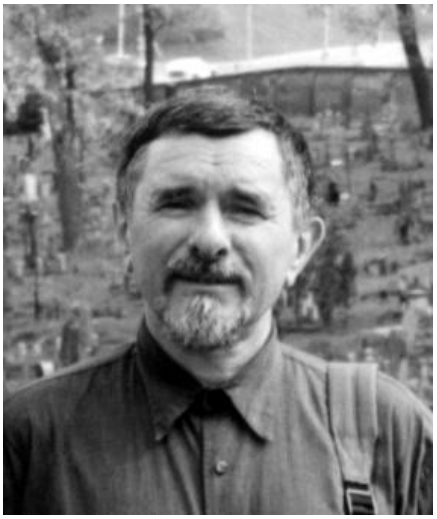

Fot. Andrzej Dębkowski

Józef Baran

Jednym słowem Józef Baran stworzył (wybacz przyjacielu) produkt idealny, w którym niby każdy znajdzie „coś dla siebie”. Ja jednak radzę wczytać się w ten tom głębiej, dosadniej, pełniej... wielokrotnie, powtarzalnie, z delektacją, której warta jest ta lektura, ta poezja – jakby będąca być może pierwszą próbą artystyczną puentowania swego artystycznego życia i twórczości przez artystę (prawie) spełnionego. (uważam, że Józek pobędzie tu jeszcze z nami jakiś czas i pomęczy się – zatem tych prób sumowania będzie więcej), a wiek odlotowy, to podskórna kokieteria (na poły) zmęczonego poety – bo któryż poeta – tu, dziś, teraz - w naszej umiłowanej Polsce XXI wieku nie jest: zmęczony, umęczony i sfrustrowany ... tłumami wiwatującymi na jego wieczorach autorskich, setkami ludzi stojącymi ciągle w kolejkach po autograf, wyzłośliwiającymi się wiecznie krytykami o ich twórczości i wreszcie wysoką pozycją społeczną swoich książek?

Być może dlatego Józef Baran niemal idealnie odtworzył współczesny obraz środowiska literackiego, któremu dał perwersyjny upust w wierszu „Poezjobójcy”:
(a fe)

coraz więcej współczesnych poetów
radosnych wyznawców onana
podnieca się awangardowo
wydając dzikie okrzyki
bez udziału czytelnika
albo w najlepszym razie
przypominając faceta
który w trakcie tej rozkosznej robótki
osiąga kogucią satysfakcję
wcale nie zauważając
czy partnerka – czytaj publiczność
coś z tego dla siebie ma

O muzo! Nie być bokserem to jest ... nie być wcale. Dlatego Józef Baran przyładował nam w twarz na odlew konsekwentnie utrwalając ten wodewilowy styl opisu ciągnący się już jakiś czas... Miał prawo, bo to święte słowa. Niestety wbrew grupie radosnych wyznawców, którzy szczelnie zapełniają sale tylko dla orłów i wyfruwają potem z orgazmem we włosach przez okna otwarte na świat.

Na sali pozostają potem tylko rzędy milczących pustych foteli, a raczej tylko krzeseł, gdyż sale z fotelami są dziś zarezerwowane dla bardziej przedsiębiorczych. Nie. Nie będę trywializował wielkiej przecież poezji Józefa Barana. To utwór dla wtajemniczonych. Pozostałe wiersze są naprawdę świetne. (choć ten również filuternie mruży oczy)

* * *

W tomie „W wieku odlotowym”, który jak nieliczne tomy przemawia własnym, prywatnym szeptem prosto do naszych serc odnajdziemy zarówno *piękne impresje borzęcińskie związane z przyrodą i krajobrazem, jak i przejmujące ekspresje szpitalne o cierpieniu. Są tu też wiersze filozoficzne o starości i śmierci, i wiersze o miłości i umiłowaniu życia. Wiersze o bezsensie i o sensie istnienia. Jak i w poprzednich zbiorach prostota sąsiaduje w nich z wyrafinowaniem i mistrzowską celnością słowa.* Tak anonsuje listopadowe, krakowskie, wirtualne spotkanie autorskie Biblioteka Kraków i ciężko się z tą opinią nie zgodzić, a nawet ciężko podsumować ten tom jakoś inaczej.

Józef Baran debiutował w 1969 roku (...), to właśnie rok, w którym przyszedłem na świat. Jednym słowem autor ten skutecznie

(Dokończenie na stronie 4)

Poeta zagubionych serc

(Dokończenie ze strony 3)

zaraził swoją poezją całe moje pokolenie, pokolenie o stopień niżej, pokolenie przełomu światów. Czy tak samo stanie się z kolejnymi pokoleniami, które powoli wyważają drzwi rzeczywistości? Obawiam się, że będzie ciężko. Ich strata, choć zdaje się, iż utwory tego Autora uznane są już przez system edukacyjny jako klasyka, ale niestety poziom wyrobienia tej młodzieży oraz nie oszukujmy się – poziom wyrobienia ich nauczycieli nie dorasta do czasów i wyzwań. A wyzwania te są coraz bardziej, jak wiemy klaustrofobiczne. Być może to jednak jest jakaś szansa na ponowne zbratanie się z poezją? Z nadmiaru czasu? Z nadmiaru upadku cywilizacji? Nie wierzę w to zbytnio, ale kto wie.

Ja drodzy Czytelnicy prochu tu nie wymyślam. O poezji Józka Barana wypowiadali się już inni, a moje odczucie tej twórczości zgodne są przecież z myślą Artura Sandauera o Baranie jako nowoczesnym poecie ludzkich serc i to znajduje jedynie poparcie, że niemal bliźniaczo postrzegają to... „ci inni".

Czesław Miłosz zauważył, że Józef Baran: *Jest wyrafinowanym poetą, który łączy tradycyjne polskie wartości z nowoczesną formą.*

Zbigniew Chojnowski w Nowych Książkach z kolei napisał: *Józef Baran jest kontynuatorem takich mistrzów czarodziejstwa poetyckiego jak Gałczyński, Twardowski czy Harasymowicz. Wszelako Baran odkrył i zajął w świecie poetów niszę jedyną swoim rodzaju, bardzo osobistą, ściśle autobiograficzną, naznaczoną w większym stopniu rustykalnością.*

Ta nisza w świecie poetów jest jednak ukierunkowana i nazwana. Znakomicie wpisuje się to w ducha epoki, w atmosferę dziejów naznaczoną dziś: rozpadem więzi społecznych, narastającą, wszechobecną i coraz częstszą samotnością czy osamotnieniem w relacjach z innymi. Ja zauważyła to Anna Dymna: *Czytając jego wiersze, odkrywam, że pytania, które sobie zadaje, zachwyty czy lęki, są też moimi. Jego słowa pomagają mi żyć: są proste, mądre, prawdziwe i trafiają prosto do serca.*

I wreszcie na koniec przywołam słowa mojego mistrza, człowieka renesansu, jak mało kto czującego poezję, legendarnego już historyka literatury z Krakowa profesora Bolesława Farona, który odniósł się nie raz do twórczości Józefa, ale pozwolę sobie zacytować te słowa o Jego wierszach:

Z pozoru proste wiersze z wyszukaną bardzo świeżą metaforyką stawiają przed czytelnikiem lustro, w którym może znaleźć swoje odbicie, skonfrontować własne przeżycia z doznaniami poety.

Każdy chyba polski poeta chciałby mieć poczucie takiej właśnie oceny swojej poezji... Słowa te jednak nie są przypadkowe. Są poparte realistycznym doświadczeniem po lekturze. To nie krytycznoliteracka figura retoryczna, słowa wytrychy mające uwznioślić wyraz poetyczny – to świadectwo prawdy i autentycznego przeżycia. To chyba najcenniejsze w ocenie. Nie szkic w ornamentach, lecz najprostsze odniesienie do faktycznego doznania...

Zazdroszczę Józkowi tych ocen, acz uczucie to nie jest w żadnym stopniu opakowane: zawiścią, zazdrością zaborczą, czy zazdrością negatywną wywołującą chęć zdeprecjonowania osiągnięć. To raczej (na pewno) zazdrość (wybaczcie porównanie) kibica piłkarskiego, również grającego namiętnie w nogę, podczas gdy Lewandowski strzela w 10 minut rywalom czwartego gola z efektownej i imponującej półprzewrotki, a stadion szaleje w amoku. Potem wychodzi się na boisko spróbować i jakoś nie wychodzi. Nic to przyjacielu. Nadal kocha się piłkę, nadal kocha się Lewandowskiego i żyje się dalej. To się nazywa autorytet – w tej sytuacji, ot, taki Lewandowski, Boniek, Deyna, Szarmach czy Lato. W poezji to właśnie Baran, Zagajewski, Wawrzkiewicz, Szymborska, Herbert... i inni. Autorytet - słowo dziś często zapomniane, albo co najmniej przemienione w znaczeniu, koncepcji czy w sensie. Z autorytetu prawdziwego, popartego postawą, prawdą i dobrem uczyniono autorytet celebrycki, którego źródeł doszukuje się w pięknie, bogactwie i popularności – tam dziś powędrowały podskórne idee autorytetu ... Mój Boże – jakiż upadek. Tak się kończy ten świat.

Taka to jest poezja Józefa Barana i pewnie dlatego zewsząd słyszę – dajcie już spokój z tym Baranem. Dajmy zatem spokój „z tym Baranem", zostawmy Barana w spokoju – niech pisze, przecież to wychodzi mu najlepiej. A my przeczytajmy na koniec wiersz Józka Barana jakże źle puentujący ten tekst...

Fraszka na ważniaka

ubierasz swoją nicość
we wszechwiedzące słowa
stroisz niebotyczne miny
balonie nadęty
prochu wygarniturowany którym
za chwilę się staniesz
z szarżą wstęgą tytułem biretem
kaprala
senatora
kardynała
króla
profesora zwyczajnego
albo innego
głupca utytułowanego
jakim wszyscy tu jesteśmy
pod słońcem i gwiazdami

robisz wszystko żeby być Kimś
ale jak już jesteś Kimś
mógłbyś wreszcie
być przez chwilę sobą

Nie jest łatwo być sobą... poza tym cóż to znaczy: być sobą? Czy dziś w ogóle można być sobą, kiedy świat wymaga od ciebie, abyś był wszędzie kimś innym? Masz być: łatwomanipulowalnym konsumentem w otoczeniu elektronicznej rozrywki chłonącym kierunek poruszania się stada i poruszającym się wraz z nim, masz być trybem w maszynie świata, dobrze naoliwionym i niezawodnym, masz być nikim, numerem, peselem, następnym przypadkiem...

A przecież wiemy, jak być sobą. Wystarczy przestać słuchać utytułowanych głupców... Powstaje dziś pytanie jak to uczynić?

Czytajcie Barana. Choć apel to nieco absurdalny. Do kogo? Większość naszych piszących czyta jedynie samych siebie. Ta garstka, która jeszcze czyta innych nie ma siły, aby się odnaleźć, scalić, zsolidaryzować i powiedzieć coś jednym, wspólnym głosem. Cała reszta coś tam czyta, ale poezja jest ... za trudna. Wyparto ją z przestrzeni publicznej. A ci, którzy czytają te słowa zapewne i czytali i znają takiego polskiego poetę jakim jest dziś Józef Baran. Pytaniem kluczowym jest – czy potrafią tę poezję: pojąć, odczuć i przeżyć, i czy również trafia głęboko do ich serc... gdyż są to dwie różne sprawy: znać i pokiwać głową – oj tak, ja znam, znam ..., a znać naprawdę.

Ech, dajmy już spokój z tym Baranem...

Andrzej Walter

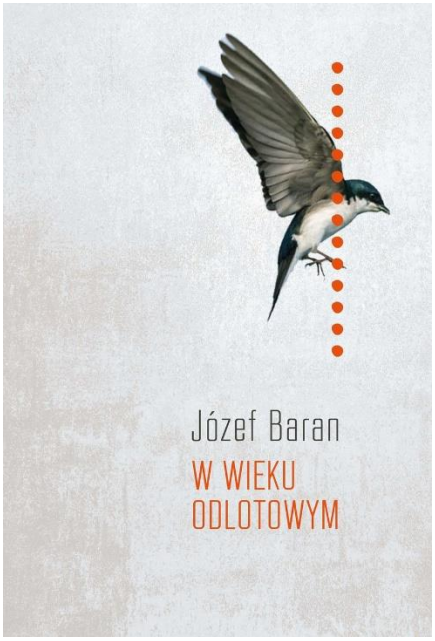

Józef Baran, *W wieku odlotowym*. Projekt okładki i stron tytułowych: Agnieszka Herman. Autorką fotografii wykorzystanych w książce jest Agata Koszczan. Opracowanie graficzne: Paweł Uniejewski. Korekta: Anna Wnękowska. Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2020, s. 220.

Mniej Więcej (194)

Foto: Zofia Mikuła

Poeta wysokiej klasy

To są wiersze, które powinni przeczytać wszyscy poeci.

Od razu zacytuję Wam wiersz pt. „O konieczności poezji". Oto on: „Żeby pisać poezję trzeba wierzyć / W konieczność pojawienia się czegoś / Co zaistnieć musi / To jedyny sposób aby ubarwić ten padół łez / I dać się ponieść muzyce bez której nie ma / Transkrypcji obrazu na język szybki celny nieomylny / Choć przeważnie nie jest to konieczne / Choć przeważnie nie jest to w ogóle możliwe".

Leszek Żuliński

Ma ten tomik 64 strony, ale od razu rzuca się podczas lektury jego ciekwa „poetyckość". Ona jest – ta poetyckość – tu wpisana, jakby wręcz zmuszała Autora do pisania.

Oto wiersz pt. *Wyznanie*: *Jestem polskim poetą / Uświadamiam to sobie / Jakbym dotąd trwał / W pół-mroku pół-śnieniu // Byłem nieświadom / Czego ode mnie żąda ojczyzna / Nie wiedziałem jakie to ważne / Dla spokoju ducha / Gdyż zbliży się kres // To dziwne a zarazem oczywiste / Ten związek między spokojem a służbą / Bez pytania na co to komu / ten związek między spokojem a służbą*.

Służba poetycka?

Tak, zdarzało mi się znać kolegów, którzy tylko poezją żyli. Cała reszta to był „zwyczajny życiowy dodatek".

Poniekąd wiele o tym mówi wiersz pt. *O melancholii, o nostalgii*: *Nostalgia zabarwia elegijnym smutkiem / Obrazy Pławi siew nim dusza i rozkoszuje / Jakby przechadzała się po pałacu luster / I odkrywała nieskończoną liczbę ról // Żadnej melancholii żadnej nostalgii / Żadnych rozmyślań nad losem // To zbyt rozkoszne ten strumień pozoru / Abym ja poeta dał się porwać reszcie!*

Zauważcie: wszystko w interiorze tego Poety jest głębokim jego istnieniem.

Wszyscy rozmaite „drabiny" mają i na nich swe życie „bujają". O życiu **Macieja Mazurka** absolutnie nic nie wiemy. Nie musimy – rzecz oczywista. On ma „drugie życie" – literackie i tylko ono zostało nam tu uwidocznione.

Wiele mówi wiersz pt. *Góra*. Cytuję: *Czas oswajać się ze śmiercią / to co przeczuwałem wyłania się ze świadomości / Jak góra ani diabelska ani czarodziejska // Wiem czym jest mit Syzyfa / I mit formy wielkiej góry starego Cézanne'a // Tu wiedza nie daje ekstatycznej radości / Jednak są chwile naturalnej pogody / Jakby cień góry ogarniał mnie / I brał w czułą opiekę // Ten chłód dłoni Ten zimny dotyk / Jest pozdrowieniem od jakiegoś bytu / Zachętą do rozmowy nie tylko z samym sobą.*

To jest jeden z najlepszych tu wierszy. Wierszy rzeczywiście wysokiej klasy.

Nie starczyłoby mi tu te pochwały Wam prezentować.

Cały ten zbiór wierszy jest czymś wielce mądrym i nieszablonowym.

Na koniec zacytuję kim jest Maciej Mazurek (rocznik 1963). Oto przeczytajcie: *…malarz, poeta, krytyk sztuki, krytyk literacki, publicysta. Absolwent liceum plastycznego, polonistyki i historii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Członek Rady Programowej Kongresu Polska Wielki Projekt i Stowarzyszenia Twórców Rzeczpospolitej. Był redaktorem naczelnym kwartalnika „Arttak" – Sztuki Piękne". Wykładał na ASP w Warszawie…*

To jest tylko fragment… Dodam, że obecnie Mazurek jest prezesem Radia Poznań.

Nie wiem jak to było możliwe, że dopiero teraz o istnieniu tego Autora się dowiedziałem. Gratuluję, gratuluję! I za Panem Mazurkiem kibicuję!

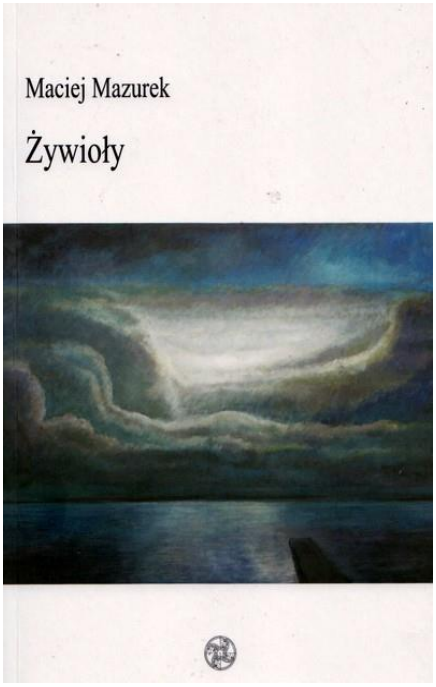

Maciej Mazurek, *Żywioły*. Redakcja: Krzysztof Kuczkowski. Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Redakcja „Toposu", Sopot 2020, s. 64.

Maciej Mazurek

Nie proś o nic poezji

Nie próbuj powierzać bólu wierszom
Zostaniesz oszukany przez muzę poezji

Nie wybacza chłodnej frazy
Zemści się
Okrucieństwo
Jest jej żywiołem

Nie proś o nic poezji
Nie wysłucha

Piękna samobójczyni

Ocaliłem jej obraz w pamięci
Wybucha czasami niespodziewanie
Nie wiadomo po co
Ocaliłem jej obraz
To było bardzo dawno
Twarz zbolałą starej kobiety
A ona była młoda
Gdy mówiliśmy o stoikach
Smutny uśmiech ale uśmiech
Zawitał na jej twarzy
Oczy były już nieobecne

Wyskoczyła z okna świetnie wykształcona
Piękna alkoholiczka z ciężką depresja w tle
Która ratowała się jak mogła Rozmawialiśmy
O filozofii stoikach i Bogu

Po jednej z takich rozmów
Wyskoczyła z okna

Śledzie i kobieta

Zmysłowa kobieta o pięknej linii ust
I oczach błękitnych z obłędem w spojrzeniu
Wypadła jak szalona do sklepu rybnego

Śledzi proszę kilogram lub więcej
Nie muszą smakować jak wyrafinowana
Francuska potrawa
Niechże będą tej potrawy przeciwieństwem
Niechże będzie w niej sól i morze północne
Śledzi proszę teraz natychmiast

O mocy poetyckiej

Moc poetycka jest tylko cieniem miłości

Skąd się bierze i skąd wypływa
Jak wielka rzeka z niewidzialnych gór
To bez znaczenia gdy czujesz jej moc

Gdy płyniesz jak ślad prawzoru
Jak wzór rozchodzących się fal na wodzie
Myśl lub idea nie twoja

To jedno jest pewne
Nie twoja

Ignacy S. Fiut

* * *

kiedy za oknami słońce
debatuje z nachalnymi
chmurami
słowom powoli
odrastają skrzydła
i podrywają się
do lotu
zapewne na wiosnę
uwiją gniazda
i wykarmią pisklęta
nowych wierszy

* * *

dom –
to bliskość
i podręczność
narzędzi istnienia:
butów, swetrów,
spodni, czapek
i płaszczy
– tylko parasolka
jak niewierna żona
czatuje na balkonie
i czeka na ukochane
krople deszczu
by zdobyć własną
podręczność

budowniczy domów

w nocnym śnie
mówi kilkoma
językami
tylko on je rozumie
i buduje z nich
osobiste archiwa
wypełnia je nowymi
znaczeniami słów

po przebudzeniu
buduje z nich
dom wiersza
i zaprasza do mieszkania
w nim.

narodziny wiersza

na papierosa na parapecie okna
na strzępy zapisanych kartek
księżyc zerka przez chmury
słychać klekotanie klawiatury
jakby pegaz stawał dęba

wiersz się rodzi
emocje buzują
płatki śniegu
prosto z Kosmosu
migoczą na ekranie
komputera
rodzi się dzieciątko
wiersza

Dusza bezdomnego poety

Bohdanowi Wrocławskiemu

najczęściej podobna z wyglądu
do duszy poety
na którego ciele
zapisuje dramat
ludzkiego istnienia
– nie prosi o jałmużnę
– nie czeka na lepsze
czasy
zrozumiała była to, co
niezrozumiałe

niebo gwiaździste...

monitorowi prorocy wieszczą:
ocieplenie klimatu nas czeka
pod znoszonymi podeszwami
butów sól dobiera się do stóp
wędrowca
a on szuka przyjaciółki
na te ciężkie czasy
która zje z nim wieczerzę
i śniadanie
kiedy noc zwinie żagiel
gwiaździstego
nieba nad
naszymi głowami

Barbara Gajewska

bezradność

przynosisz mi sen faraona
i drugie szczęście Hioba

chude lata jak chude krowy z bezmlecznymi
wymionami
nie dające się wydoić z resztek pożywnego
złudzenia
można obłaskawić
mówisz
tylko
trzeba być rozsądnym

ale ja wiem że lata tłuste nie nadejdą już nie
pora
na późny wysiew bo tylko piasek i skała
i suche rzeki
z dnami popękanymi od podskórnych
wstrząsów

a jednak w chwilach przypływów
wypiętrza się we mnie kolejna góra Tabor

chcę ją posiąść nasycić się jak uczniowie
ale staczam się obolałą koniecznością
w czas zaprzeszły
w którym tak samo oślepiają
pot Syzyfa i jęki Hioba

przynieś mi sen
na moją miarę
bym umiała gromadzić zapasy na lata chude

grzech Marsjasza

odważny byłeś Marsjaszu a może aż tak
naiwny
chciałeś dorównać bogom chciałeś
ostrymi dźwiękami aulosu
przygasić płomień którym Apollo rozpalał
struny swojej cytry

ty satyr
jak mogłeś nie wiedzieć że bogowie grają
najpiękniej
przecież zostali wykrzesani z piękna

nie mieszkają w cienistych lasach nie kładą
głów na ziemi
i nie ma dla nich za wysokich progów i za
długich drabin

ty satyr
na swoich koźlich nogach
mogłeś tylko fiknąć kozła
a ty grałeś i grałeś pięknie i to był twój grzech

odważny byłeś Marsjaszu czy aż tak naiwny
oddałeś siebie na żer zemsty boga za tę grę
unisono
za powiew zachwytu

czyżbyś wierzył w łagodność piękna na
boskich dłoniach Apolla

kiedy pławił się w twoim krzyku i swojej
pogardzie
kiedy zdzierał z ciebie kolejny płat skóry
pasterze nadal pilnowali owiec a bogowie
ucztowali na Olimpie
i tylko poeta wie że skamieniał słowik
i posiwiało drzewo

sąsiad

jeszcze siedem lat temu był panem Michałem
robił zakupy sadził kwiaty na balkonie
znosił z wyżyn czwartego piętra dobre słowa
na dobry dzień
jego spokojne kroki wygładzały nerwowy
tupot
tych co po kilka schodów na raz
byle szybciej byle lepiej byle jak

spotykałam go często na tym kawałku drogi
zawieszonej pomiędzy naszymi marzeniami
stawaliśmy na poboczu
stwarzaliśmy azyl z żyznych słów
i było ciepło i cicho i było nas dwoje
zatrzymujących na klatce schodowej gwizd
białej lokomotywy

teraz człapie jak stary pies przywiązany
łańcuchem ręki
do woli opiekunki
i patrzy na mnie wzrokiem płytkim jak kałuża
na chodniku
i ołowianym jak morze

jestem dla niego obca
i on sam dla siebie jest obcy

w jego zatrzaśniętych ustach nie lęgną się już
słowa
na wargach nie wykluwa się uśmiech

czasem podnosi nie swoją pięść
jakby chciał rozbić nie swój świat
bo teraz już nic nie jest jego
nawet łóżko
nawet kot

gdy mijamy się w labiryncie schodowej klatki
widzę jak łka
gwałcona na moich oczach przez Alzheimera
jego
godność

Marek Słomiak

po-krzywdzone słowa

przyszło
przybyło
przyszyło się słońce
ścierwnikiem w poprzek
oczu stanęło szponem
jak sumienia wyrzuty

– więc spowiadam się –

tobie i tamtej pokrzywdzonej
materii z serii przypadkowych
przypadków z odmiany świata
różnego w zderzenia i zdarzenia
rozciągliwego czasu niczym „grzech
grzechotnik" ochotnik w podróżach
różach rozprzestrzenionego ogrodu
pod kopułą tlenu

– więc spowiadam się –

z każdego wyrazu obrazu zwątpień
i kont rozliczeń w banku duszy
z rachunkiem sumienia kamienia
– więc – oto słońce przyszyło się
do mnie jak Słowa trwała obecność
jak ty przechodniu przechodni
czarem rozgrzeszenia – –

wokół pracy

nieskończoność uczucia… jest
– lecz nie bywa –
twoim serca podnietą tworzeniem
świata jasnej rzeczywistości
promieniami rąk podejmujesz
puls przestrzeni myślą usłanej
jak soczystą zielenią poranka
krynicą przemyślenia ciszy
jak ust nawilżenie rośnięciem
w tobie wszystkich przybyłych
aniołów
świadków szczęścia ponadczasowej
prawdy
– która nie bywa –
lecz jest w każdym ziarnku tego
wszechświata naszych twarzy
czujących nie pewnikiem
lecz teraźniejszością chwili
uczucia nieskończoności jak
ty i ja
– ona trwa i trwa bezpiecznie…

Rys. Barbara Medajska

* * *

wśród przestrzeni
przestrzenią wnętrza granic ruchu
wszelkiego
wśród gęstnienia atmosfery
atmosferycznego zagęszczenia rozmów
wśród bardzo gęstej śmiałości
wobec bliźnich
wobec blizn na twarzy swojego sumienia
odnalazł sposób ucieczki z labiryntu trwogi
popłynął jakby wodą powietrza
jakby rybą–ptakiem się stał wstał
więc z klęczek przed matnią całej sytuacji
przekroczył progi bojaźni płynąc
wszczął rozmowy poszukując wyjścia
do jasnej wolności wyboru
i znalazł promień jedyny taki anioła
wśród błękitów roztoczył się cały
stały jak słów przysięga honoru wzroku
w honoru zdanie się przemienił
w ciało wpadł i w myśl się zatopił
i trwale trwa już tak aż po…

* * *

wyczekiwałem pod balkonem na zarys –
choćby
skrawka słowa powierzonego na
przechowanie –
pod balkonem pełnym białej mapy światła –
światy
przemierzały drogi ograniczonej swobody
– nie docierały się z moim wezwaniem –
stałem
w słońcach i deszczach – stałem
w śniegach i mrozach z palcami przy ustach
wołałem – odezwij się mądrości święta –
światłość
myśli milczała – – cisza jest pożądaniem
zmyślnym
– modlisz się wpół zdania i słowa wpół – ono
chce zaistnieć – lecz ten deszcz zamyśleń
rozchodzi się
żwawo – komplikuje wypowiedź i nie wiem
już nic
– – wyczekujesz
pełnej swobody zapisu sytuacji twojej i tego
tu obok
wielkiego człowieka dla Pani Poesis
odwracającej
wzrok wytrwale ode mnie klęczącego pod
balkonem
ołtarzem miłości – i nic – jestem może zbyt
powolny
by Słowo rozpowszechnić po krańce umysłu
ludzkiego –

zapis z nocy

…i ci wszyscy nieobecni
obecnością w nocy
przychodzący niewinnie ubrani
odchodzący w glorii łaski dobra
ci wszyscy
którzy przeszli przez twego życia
krajobrazy i te groźne
i te spokojem milczące – rozpatrują
sensy i bezsensy tego lub
kroku innego niż ten którym
chciałbyś lecz nie musisz
wspinać się na wyżyny rozwiązań
szczegółu z zapadni myśli
– przeźroczyści myśliciele znają
już rozwiązania a tobie podsuwają
kartkę na list do siebie i delikatnie
się uśmiechają
– – jesteś już w drodze lecz jeszcze
niejednego muru postawionego
przed głową
nie przebijesz tej
tajemnicy dopóki sam tajemnicą
się nie staniesz
tego stworzenia i tej miłości

Anna Maria Tryba

Klient musi być zadowolony. Nieporozumienia wykluczone

Czyli o potrzebie deformacji ludzkiego oblicza. WITKACY – Artysta malarz – część III

Artysta dramatów według Witkiewicza miał prawo do zrywania związków przyczynowo-skutkowych, do swobodnej deformacji zarówno psychologii, jak i działania postaci. Witkacy pisał o dramacie, że powinien być jak „mózg wariata na scenie". Jednak równocześnie twierdził, że w sztukach teatralnych pewien sens życiowy jest nieunikniony, bowiem twórcą jest człowiek. Całkowita eliminacja życiowych założeń wepchnęłaby sztukę w programowość, która, według Witkiewicza, nie jest szczerym aktem twórczym. Teorii Czystej Formy jeszcze przed wojną zarzucano m.in. niespójność, czasami niemożliwość realizacji i na pewno nieprzystawalność do praktyki dramatopisarskiej autora. Witkacy zażarcie jej bronił, chociaż sam zdawał sobie sprawę, że nie jest jej wierny w swoich dramatach. Sztuki teatralne znakował. Przy tych, jego zdaniem, bardziej realistycznych, np. *W małym dworku*, stawiał krzyżyk, natomiast te, które bardziej zbliżały się do czystej formy, np. *Nowe wyzwolenie*, oznaczał gwiazdką.

Witkacy uważał, że przed twórcą, który uzna teorię Czystej Formy, otwiera się perspektywa nieograniczonej wolności. Sztukę należy tworzyć w oparciu o rzetelną technikę, ale całkowicie niezależnie od wszelkich zasad, konwencji, mody, oczekiwań publiczności i krytyki. Witkacy swoją teorią przekreśla wszelkie kursy kreatywnego pisania i podręczniki tworzenia scenariuszy, wszystkie zasady zmuszające do układania fabuł w oparciu o wstęp, rozwinięcie i zakończenie, konflikty i punkty zwrotne. Jak zatem tworzyć w sytuacji, w której wszystko wolno? Czy uznając teorię Czystej Formy nie zostaniemy zmuszeni do uznawania za artystów wszelkiej maści grafomanów, wariatów i beztalencia? Nie. Nie wolno zapominać, że dla Witkacego wolność w twórczości była równie ważna, co konieczna. Prawdziwa sztuka, taka, która może spowodować w widzu metafizyczny wstrząs, ma być szczera, tworzona świadomie i na gorąco. Stąd dzieła schematyczne, wygłupy, techniczne popisy, efekty działania przypadku, cyniczne fabrykacje, komercyjne produkty i utwory propagandowe nie mają niczego wspólnego z faktycznymi arcydziełami. Sztuka musi działać, a żeby to się stało, musi powstawać dla samej siebie i musi być o samej sobie, niczym ptasia pieśń.

Jak zatem ma wyglądać Czysta Forma w praktyce? Tu pojawia się problem. Tego z góry nie można wiedzieć. Kształt sztuki zależy od indywidualności artysty. Można wszystko, więc możliwe są zarówno najdziksze deformacje rzeczywistości, jak i dzieła hiperrealistyczne, ubogie w technikę minimalistyczne abstrakcje i skomplikowane ornamenty. Witkacy, mając świadomość, że źródłem sztuki są pradawne rytuały, wierzył, że Czysta Forma może dostarczyć widzom doznań metafizycznych, tak jak czyniła to religia dawniej, kiedy ludzie potrafili jeszcze naprawdę wierzyć w istnienie wyższej rzeczywistości. Sztuka ma przenosić widzów poza codzienność, wyostrzać ich zmysły i sprowadzać wrażenia, których skala przekracza wszystko, co znane. Jest więc rodzajem narkotyku odmieniającego percepcję.

Kiedy przystąpił do próby urzeczywistnienia teorii Czystej Formy w teatrze, mieszał wściekłą brutalność z partiami lirycznymi, cytował i parodiował, deformował klasyczne fabuły, pozwalał swoim bohaterom działać wbrew logice i porozumiewać się ze sobą neologizmami. W *Macieju Korbowie i Bellatrix*, pierwszym dramacie Witkacego napisanym w dorosłym wieku, młoda dziewczyna w imię miłości do tytułowego bohatera zgadza się, by ją zamordowano. W epilogu *Matki* główny bohater spotyka swoją rodzicielkę z czasów sprzed swego urodzenia, noszącą go właśnie w łonie. W *Wariacie i zakonnicy* tytułowy mężczyzna pojawia się na scenie tuż po tym, jak się powiesił – jego trup nadal dynda pod sufitem.

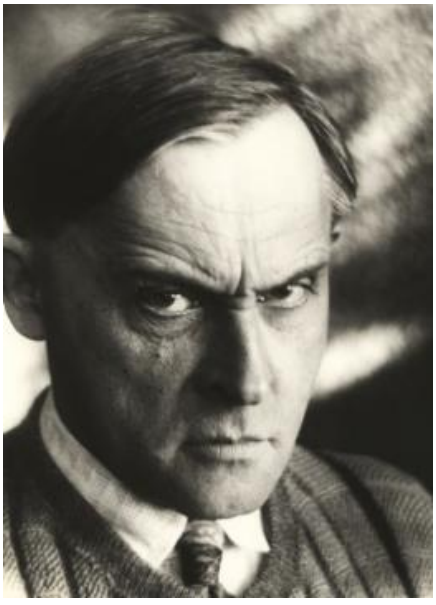

Jako autor debiutował w roku 1921, gdy Teofil Trzciński, dyrektor Teatru im. Słowackiego w Krakowie, wystawił jego *Tumora Mózgowicza*. Premiera zapowiadanego jako eksperyment spektaklu odbyła się 30 czerwca, po oficjalnym zakończeniu sezonu. Zaplanowano tylko dwa pokazy, na które wejść mogły jedynie osoby posiadające zaproszenia. Witkacy żalił się, że dyrektorzy sięgający po jego teksty nie dokonują żadnych eksperymentów, gdyż przedstawienia eksploatują w warunkach niepodobnych do rzeczywistości. Faktem jest, że te jak i następne premiery Witkacego schodziły najwyżej po kilku graniach i były dosłownie miażdżone przez rozzuchwaloną krytykę. Sami artyści biorący udział w pracach nad spektaklami często odżegnywali się od dramatopisarza i na niego zrzucali winę za niepowodzenia. Zdarzył się i bojkot jego sztuki, gdy w 1926 roku aktorzy warszawskiego Teatru Małego złożyli role i odmówili grania w *Tumorze Mózgowiczu* w reżyserii Aleksandra Węgierki.

Jednym z niewielu ludzi teatru usiłujących zrozumieć teorię Czystej Formy i zastosować ją w inscenizacji był Edmund Wierciński, który w poznańskim Teatrze Nowym, noszącym imię Heleny Modrzejewskiej – matki chrzestnej Witkacego, wystawił w 1928 roku *Metafizykę dwugłowego cielęcia*. Do dziwności i deformacji tekstu Wierciński dodał deformację gry aktorskiej, w której teksty wypowiadane były z intencjami pozbawionymi logiki i przypadkowymi działaniami fizycznymi. Przedstawienie okazało się totalną klapą. Potępił je nawet Witkacy, mówiąc, że „reżyser nie może wychodzić poza pewne granice tożsamości utworu". Wielkim i wyjątkowym w życiu Witkacego sukcesem okazała się jedynie inscenizacja *Jana Macieja Karola Wścieklicy* z 1925 roku w rozrywkowym teatrzyku im. Fredry w Warszawie. Przedstawienie zagrano 49 razy, następnie wyjechano z nim w objazd po Polsce, a wreszcie przeniesiono do Teatru Małego we Lwowie. W recenzjach Witkacego porównywano z Wyspiańskim i okrzyknięto geniuszem. Sam autor sceptycznie podchodził do triumfu. Wiedział, że *Jan Maciej…* jest sztuką stosunkowo odległą od idei Czystej Formy, a jej popularność polegała w dużej mierze na podobieństwie do aktualnych wydarzeń politycznych. W kraju wzrastało napięcie, którego kulminacja przybrała formę przewrotu majowego, a główny bohater, tytułowy Jan Maciej, chłopski polityk, wyraźnie kojarzył się z premierem Wincentym Witosem. Sława i uznanie nie trwały długo. Po roku 1928 żaden zawodowy teatr nie wystawił już tekstu Witkacego za jego życia.

Witkacy zarzucał tak widzom, jak i krytykom złą wolę i programowe odrzucanie jego twórczości. Rzeczywiście spotykał się w swoim życiu z wieloma atakami. Zakopiańskiego artystę oskarżano o niemoralność i bluźnierczość, próbę zniszczenia wartościowej sztuki, rozbieżności między teorią a praktyką.

Krytycy doprowadzali Witkacego do szału nie tylko za sprawą swojego programowego konserwatyzmu, ale także przez swoje braki w wykształceniu, płytkość myśli i brak intelektualnego rygoru. Często polemizował z recenzentami, choć przyznawał, że wdając się z nimi w spory, ma wrażenie, jakby babrał się w ekstrementach. Kontynuował wysiłek, którego jeszcze przed jego narodzeniem w stosunku do krytyki malarskiej podejmował się ojciec, Stanisław Witkiewicz. Twórca stylu zakopiańskiego dowodził, że recenzenci, używając niejednoznacznych pojęć, tworzą dziwny, jałowy język, którym usiłują uzasadniać swoje niedojrzałe sądy.

Pewnie uczucie rozmijania się z dominującym nurtem sprawiło, że Witkacy w latach 30. sporadycznie już tylko pisał sztuki teatralne i przestał zabiegać o ich wystawianie. Okazało się, że na scenach żywiących się komediami Bałuckiego i Zapolskiej nie ma miejsca dla apostoła Czystej Formy. Ostanie dziesięć lat życia Witkacy żył w przeświadczeniu o niepowodzeniu swojej misji. W wywiadzie udzielonym w 1924 roku na pytanie o to, czego mu brakuje, odpowiedział, że trzech rzeczy: dobrze wyposażonej pracowni plastycznej, własnego pisma i własnego teatru. Po 1925 roku skończył z działalnością malarską, ograniczając się do zarobkowego malowania portretów. Pisał przeważnie w niszowych pismach, które upadały równie szybko, jak pojawiały się na rynku. Jedyną grupą teatralną rzeczywiście oddaną ideom Witkacego i regularnie wystawiającą jego teksty był amatorski teatr prowadzony przez księdza Henryka Kazimierowicza przy parafii w Stolinie.

Kiedy w 1935 roku ukończył swoje pisane przez prawie dwadzieścia lat dzieło filozoficzne *Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie Istnienia*, wydał je własnym sumptem w nakładzie sześciuset pięćdziesięciu egzemplarzy. Sprzedać udało się dwanaście. Pewnie nie myślał o swoim dorobku, kiedy we wrześniu 1939 roku zażywał środek nasenny, a następnie podcinał sobie brzytwą tętnicę szyjną. Gdyby przeżył wojnę, doczekałby pewnie do lat 50. i pierwszych nieśmiałych prób wystawienia jego dramatów. Gdyby dożył lat 60., byłby świadkiem pierwszego wydania zbioru swoich dramatów przez rozkochanego w nim Konstantego Puzynę oraz przybierającej na sile fali zainteresowania, która przetoczyła się przez Polskę i Europę. Dochodziłby wówczas do osiemdziesiątki i cieszyłby się opinią prekursora teatru absurdu, który utorował drogę Gombrowiczowi i Mrożkowi. Gdyby pożył jeszcze dłużej, z niedowierzaniem zapewne przyjąłby do wiadomości, że jego teksty znalazły się w kanonie lektur szkolnych, sankcjonując tym samym jego pozycję jako klasyka.
A gdyby dożył 1985 roku… doczekałby się i własnego teatru… O tym kultowym miejscu mieszczących się przy ulicy Chramcówki 15 w Zakopanem. To miejsce wyjątkowe, jak jego patron, a dla mnie szczególnie ważne. Panujący tam magiczny klimat od początku mnie koił, czułam się jak u siebie. I Ci fantastyczni poznani tam ludzie. Dobierając osobę, z którą chciałabym porozmawiać przy okazji opracowywania tematyki Witkacego dramaturga nie miałam żadnych wątpliwości. Sporo czekałam na to spotkanie, ale nikt inny, niż dyrektor Teatru Witkacego i wybitny reżyser– pan Andrzej Stanisław Dziuk, nie przybliżyłby mnie jak i czytelnikom lepiej dramaturgii Witkacego i Teorii Czystej Formy.

Rozmowa Anny Marii Tryby z Andrzejem St. Dziukiem, pomysłodawcą, założycielem i dyrektorem Teatru Witkacego w Zakopanem

Anna Maria Tryba: **– Moje pierwsze pytanie, takie może trochę przewrotne, jakiej sztuki by Pan nigdy nie wyreżyserował Witkacego?**

Andrzej St. Dziuk: – Chyba nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, musiałbym spekulować. Prawdopodobnie *W małym dworku,* bo jest najczęściej wystawianą sztuką i pozornie najłatwiejszą. Przez bardzo długi okres czasu, co mogło wynikać z mojej niedojrzałości czy lęku, nie zdobyłbym się na przedstawienie *Szewców* czy *Matki.* Również z tego powodu, że te teksty zostały już wcześniej zrealizowane np. przez pana Jarockiego w sposób fantastyczny. Dlatego nie bardzo miałem taką potrzebę żeby się w jakiś sposób ścigać czy odnosić do tego co było już dziełem skończonym i doskonałym.

Ja kiedy sięgam po jakikolwiek tekst Witkacego jest to powodowane bardzo głęboką potrzebą. I to taką potrzebą, żeby się odnieść nie tylko do stanu kondycji ludzkiej, ale do miejsca człowieka w dzisiejszym świecie. W tym punkcie Witkacy zawsze był dla mnie fantastycznym, ale i bolesnym drogowskazem, swoistym papierkiem lakmusowym. Czytanie siebie poprzez Witkacego zawsze wynikało z ogromnej potrzeby. To też dotyczy mojego zespołu. Niejednokrotnie aktorzy sugerowali mi, kiedy dłuższy czas nie graliśmy Witkacego, żeby do niego powrócić, żebyśmy się nie pogubili. On jest taką naszą busolą. Busolą szaleńca w zwariowanym świecie.

– Jedno słowo, którym opisałby Pan dramatopisarstwo Witkacego?

– Nie ma takiej potrzeby, powodu, żeby ograniczać się do jednego słowa. Od razu kojarzy mi się Uczucie Metafizyczne, a to już dwa słowa. Również przychodzi mi na myśl Tajemnica Istnienia. Wyrażenia te są komplementarne. Ale nie chcę tu nadawać sztucznych, martwych określeń, sztuka Witkacego jest żywa, pełna sprzeczności, własnego języka, fantastycznych postaci i zaskakujących rozwiązań. I to wszystko ma wywołać w nas pewien niepokój, niepokój metafizyczny.

– Mógłby Pan określić jak rozumie założenia Teorii Czystej Formy? Czy jej elementy realizuje Pan tworząc spektakle?

– To jest bardzo dobre pytanie. Dziękuję za nie, bo to jest pytanie, którego wszyscy boją się zadać. Kategoria witkacowskiej Czystej Formy jest swoistym straszakiem. Każdy się boi zapytać, bo zazwyczaj nie rozumie o co tutaj chodzi.

– To ja jestem chyba wyjątkiem. Od wielu lat usiłuję zrozumieć o co chodzi w tej teorii, dalej nie pojmuję, ale właśnie dlatego pytam, licząc, że mi oraz Czytelnikom wyjaśni Pan co „w tym jest grane"?

– Nie należy się wstydzić, że jest to niepojęta sprawa, bo dla Witkacego ta kategoria była kategorią prowokacyjną. Kategoria z rzędu intelektualnych prowokacji, rzeczy niemożliwych do zrealizowania, niedościgłym modelem. Sam Witkacy miał tego świadomość. Jeżeli zdefiniujemy kategorię Czystej Formy w kategoriach czysto formalnych to jest to konstrukcja pewnych abstrakcyjnych elementów, ale to nie oddaje istoty rzeczy. Jednak tak to możemy rozumieć, również jako forma plastyczna czy kształtu. To zmierza do zrozumienia formy w głębszych kategoriach. Forma jako to co jest istotowe. Witkacy walczył, aby ta Forma powodowała u odbiorcy określone emocje. Niekoniecznie refleksyjne, dzieło najpierw powinno nas „rozwalić" na cząstki, a dopiero potem z tych cząstek możemy poskładać doświadczenie własnego ja, scalić w jedno. Przeżycie estetyczne dla Witkacego staje się przeżyciem egzystencjalnym, metafizycznym. Dzieło sztuki ma budzić uczucie niewytłumaczalnej jedności. Ta jedność jest nam pierwotnie dana. Odzyskanie takiego pierwotnego uczucia jest swoistą tajemnicą. Witkacy nie udaje wcale, że to się tak łatwo wytłumaczyć w języku dyskursywnym. Najważniejsze jest przeżycie bezpośrednie dzieła sztuki, a dopiero potem refleksja nad nim. Dla Witkacego jedynym kryterium dzieła jest, aby wywoływało u chociaż jednego odbiorcy przeżycia metafizyczne. To jest oczywiście kontrowersyjne dla wielu teoretyków sztuki. A przecież właśnie zdolność do tego typu doświadczeń, doznań metafizycznych, jest tym co konstytuuje nasze człowieczeństwo. Cała jego diagnoza upadku sztuki wiąże się z zanikiem tych uczuć. Nie jesteśmy zdolni do tego typu uczuć. To nie jest kwestia, że te uczucia są wstydliwe, to nie są uczucia ckliwe, to są fundamentalne uczucia egzystencjalne.

– Dlaczego nie jesteśmy w stanie odczuwać już takim stanów, przeżyć egzystencjalnych?

– To już jest cały wielki proces umasowienia, zanik indywidualności. Uczucie metafizyczne jest uczuciem indywidualnym, z tym uczuciem nie można się dzielić. A my stajemy się coraz bardziej społecznymi i zależnymi jednostkami, wręcz niewolniczo zależnymi. Kto ma dzisiaj swoją moc i siłę przeżyć swoją samotność wobec kosmosu? Czy wobec Boga? Jesteśmy zbyt mali, zbyt tchórzliwi i przyzwyczailiśmy się do pseudoobron w elacjach miłosnych czy zawodowych. Jesteśmy cały czas w swoistej skorupie, która ma nas bronić przed tym, co jest w nas samych.

(Dokończenie na stronie 10)

Klient musi być zadowolony. Nieporozumienia wykluczone

(Dokończenie ze strony 9)

Przed tym co organiczne i wulkaniczne w nas. A uczucie metafizyczne niszczy nasze poczucie bezpieczeństwa, nasze uczucie pojmowania. Dotknięcie Tajemnicy to jest oślepiające światło, ból lub ekstatyczna radość. Jakkolwiek to nazwiemy to przekracza naszą konstrukcje psychofizyczną.

– Wspominał Pan wielokrotnie, że aplikując na studia reżyserskie, jako propozycję dramatu, który chciał Pan przedstawić byli *Szewcy.* Czy już wtedy darzył Pan Witkacego tak wielkim zainteresowaniem? Dlaczego *Szewcy*? Bo uchodzą za najtrudniejszy tekst Witkacego?

– Tak. Bo *Szewcy* byli najtrudniejsi. Bo byłem zachwycony tym dramatem, do tej pory uważam, że ten tekst w diagnozie historiozoficznej jest porażający. Cykl przewrotów społecznych, rola jednostki w tym wszystkim to mnie zawsze fascynowało w Witkacym. Chociaż jego myślenie jest głęboki katastroficzne, to, że za każdym razem zwycięża masa, z tej masy wychodzi przywódca, a ta masa z powrotem go pożera i mieli.

To jest myślenie Springerowskie, zmierzch cywilizacji Zachodu, ale to myślenie jest fantastyczne, bo dotykało wówczas mojego myślenia, jak to naprawdę jest, zwłaszcza w czasie panującej wtedy powszechnie komunizmu, myślenia zbiorowego i przeświadczenia, że nic się nie znaczy i nic nie można zrobić. Poczucie, że nad tym panuje jakiś obrzydliwy, niedefiniowalny mechanizm. I tak jest u Witkacego, że są jakieś siły, panuje katastrofizm związany z masą, tłumem. Witkacy właśnie tego najbardziej się bał, tłumu, który rządzi, który jest potworem, nie ponosi żadnej odpowiedzialności. Tu też ujawnia się to XIX wieczne myślenie Witkacego, że tylko jednostki tworzą historię.

– Witkacy w swoich tekstach miał zawsze bardzo smutne przesłanki dla ludzkości i miejsca, gdzie ta ludzkość zmierza. Bardzo jest to widoczne tak w jego dramatach, jak i esejach.

– Mówimy tutaj o kolejnej legendzie Witkacego, jedna z nich dotyczy jego życia prywatnego, a druga silna legenda katastroficzna. W tym miejscu należałoby zdefiniować o jaki katastrofizm chodzi. U Witkacego chodzi o katastrofę, którą sobie człowiek sam tworzy, chodzi o relacje międzyludzkie, które wypracowują mechanizm zniszczenia. Ale co ulegnie zniszczeniu? Człowiek. Ale co to znaczy człowiek? Człowiek umiera, ale wartości powinny być niepodważalne, wieczne. Jakie wartości? Ludzkie. A co nas najbardziej definiuje jako ludzi? To jest ta słynna ego triada. Religia, filozofia, sztuka. Wszystkie te kategorie są związane z duchem. Ta słynna triada, dla Witkacego, jest zagrożona. Dla mnie oczywiście najważniejsza jest ta trzecia forma. Co pokolenie słyszymy, że teatr się kończy. Witkacy jest przerażony, że jego świat się skończy. Te wartości, które w jego rozumieniu konstytuują człowieka, umrą, wygasną. Zniknie potrzeba przeżyć metafizycznych, a filozofia bredzi, kieruje się w stronę logiki. I tak też jest obecnie. Filozofii nie ma, jest teoria poznania czy aksjologia. Religia stała się martwym wykonywaniem gestów, nie ma nic wspólnego z pierwotną grozą wobec Boga. Ale to jego świat się kończy. Jakiś świat zawsze będzie, świat automatów, świat szczęśliwej ludzkości, świat szczęśliwego bydlęcia, pogwajdić i pokierdasić – główne potrzeby nowego człowieka. O tym można by dużo rozmawiać, to fascynujący temat. Jak koniec tej triady ma się do tego co obserwujemy dzisiaj. Jakoś nie widzę, żeby filozofia miała jakikolwiek wpływ w naszym życiu społecznym czy indywidualnym. Nie zadajemy sobie pytań, które mogłyby nas zaniepokoić, zakwestionować. O religii nie będziemy mówić, bo żyjemy w czasach pogan. W czasie, o którym w Ewangelii jest napisane, że to czas pogan, czas który poprzedza czas eschatologii. A sztuki nie ma, sztuka zdezerterowała, zostawiła człowieka. Okręt się topi.

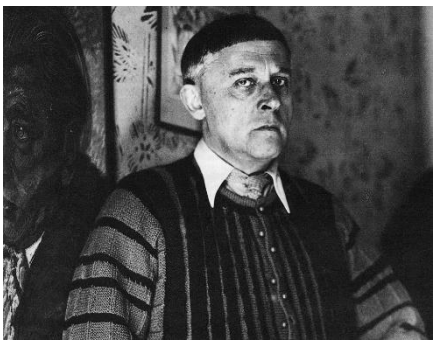

Oczywiście są jeszcze jakieś teatry, jakieś opery, ale nie ma prawdziwych odbiorców tej sztuki. Wielu tam chodzi bo wypada. Po drugiej strony odbiorcy, jest artysta, który zorientował się, że jest martwy, nic go zadowolić nie może. To wg Witkacego wynika z przesycenia i z nienasycenia, z impotencji twórczej. A sztuka ginie w konwulsjach. Wina tego leży zarówno po stronie artysty, jak i odbiorcy.

– Czy zostało Panu kiedykolwiek zarzucone nieprawidłowe interpretowanie myśli Witkacego w swoich sztukach?

– Dla mnie ważne jest, żeby w moim odczuciu być w zgodzie z myśleniem Witkacego. Jego niezwykle odważnym, mocnym myśleniem. Traktowaniem serio przez niego sztuki. Dlatego jeśli ja robię takie spektakle jak *Metafizyka dwugłowego cielęcia*, to wyłapuję z tego dramatu to co wydaje mi się w tym dramacie niezwykle ważne, ale co jest w tekście zapisane. Temat, który dzisiaj jest niezwykle ważny. Witkacy pokazuje jak jesteśmy od maleńkości poddawani swoistej tresurze, żeby wpasować się w obowiązujące normy. Często obecnie słyszymy hasła „bądź sobą", ale co to znaczy? To już brzmi śmiesznie. Rodzę się jako dynamit, a cały proces wychowania prowadzi do tego, żeby mnie rozbroić. Bo sam fakt mojego istnienia w uniwersum stanowi zagrożenie. Okrutna prawda jest w tym, że robi się to w imię miłości, dla mojego dobra. Wszyscy chcą stworzyć z karmazyniera porządnego człowieka. Istnieje pytanie, czy to jest cena, jaką się płaci, za to, że się żyje w społeczeństwie. I czy ta cena nie jest zbyt wysoka. Bardzo lubię to przedstawienie i ten tekst. On jest dosyć powikłany przez relacje osobowe, ale przy dużym skupieniu da się to rozszyfrować.

– Witkacy ze swoimi *Szewcami* zajmuje teraz miejsce wśród obowiązkowych lektur szkolnych. Uważa Pan, że to dobry pomysł przymuszać młodzież do czytania Witkacego? Czy wiek licealny to nie jest jeszcze za wcześnie na lekturę jego dzieł?

– Wszystko zależy jak będą interpretowane te teksty. Jeżeli to ma być przykład Witkacego jako proroka, który przewidział zagrożenie komuną, to jest to daleko posunięte uproszczenie. Zrobienie z Witkacego pisarza, który tworzył polityczną satyrę jest żałosne i niedopuszczalne. Wydaje mi się, że młodzi ludzie mają swoją wrażliwość, swoją mądrość i intuicyjnie przeczuwają, że nie da się Witkacego tak łatwo zaszufladkować. Na pewno dobrze, żeby się w szkole o tego Witkacego chociaż otarli, a on sobie już z nimi poradzi. To będzie owocowało intelektualnie, zobaczą, że opis świata nie musi być jak w serialu.

– Ale jest coś w tym Witkacym, że młodzież zawsze się fascynowała jego postacią. W liceum największym zainteresowaniem w czasie omawiania dwudziestolecia międzywojennego, cieszy się właśnie Witkacy. Jak Pan myśli, z czego to wynika?

– Z jego legendy biograficznej. To znaczy mam na myśli tę czarną legendę erotomana, narkomana. To przyciąga. To jest krzywdzące dla Witkacego, ale jest to cena noszenia pewnej maski, która została mu nałożona. Jeśli to spowoduje, że ktoś sięgnie po Nienasycenie czy Pożegnanie jesieni to będzie to piękne. Witkacy już później zrobi swoje, niezależnie od swojej czarnej legendy.

– Jest może coś, czego życzyłby Pan sobie i czytelnikom sięgającym po dramaty Witkacego? Dotyczącego chociażby interpretacji.

– Ja mogę życzyć jedynie prawdziwych, głębokich przeżyć metafizycznych, doznań artystycznych, które są możliwe dzięki Witkacemu!

KONIEC

Igor Mostowicz

O świecie, który przeminął

(fragment powieści)

Jaś urodził się jako czwarty, żywy syn swych rodziców, a poprzedni bracia zaraz po urodzeniu zmarli. Świat zobaczył w listopadzie 1949 roku ok. 4.50 rano i przyszedł nań poprzez „cesarskie cięcie". Ważył prawie 6 kilogramów. Nauczył się chodzić rok później, choć w wieku 8 miesięcy powtarzał bez zrozumienia zasłyszane wypowiedzi rodziców i sąsiadów piękną polszczyzną. Najczęstszą partnerka jego zabaw była długowłosa, ruda suka o imieniu Lotta, której często dokuczał ciągnąc ją za uszy i ogon, ale nigdy go nie ugryzła, znosząc z pokorą jego dokuczliwe pieszczoty. Nie pozwalała także obcym ludziom dotykać Jasia, i można powiedzieć, że była jego czworonożną piastunką. Kiedy pierwszy raz ojciec wziął go na targ do pobliskiego miasteczka – Starego Sącza – jadąc furmanką, oglądał wielkie plakaty człowieka uśmiechniętego z wąsami, poprzyklejane na drewnianych tablicach ogłoszeń, bramach domów i ścianach. Na pytanie: kto to jest?, ojciec odpowiedział mu, że to wódz narodów wspólnoty socjalistycznej – towarzysz Generalissimus Stalin! W oczach ojca zauważył jednak kpiarski uśmiech. Ojciec dodał, że to jest „kult jednostki" i nie należy nikomu o nim nic złego mówić. Sąsiedzi mogą donieść na taką rodzinę do władz i tata może być zabrany z domu i zaaresztowany. A u nas w wychodku są gazety z jego portretami – powiedział Jaś, pełniące funkcje papieru toaletowego. Tata odpowiedział, że obecnie go się nie produkuje, bo to towar burżuazyjny, niedostępny przeciętnemu obywatelowi. A o tym, że takimi gazetami podciera się zadki – też nie można mówić nikomu. Po dokonaniu zakupów i handlu wiejskimi produktami, wszyscy jechali milcząco do domu. Na gościńcu było słychać turkot furmanek i klekot koński kopyt. Jaś, mama i tata milczeli do samego domu.

Po południu zaczęło mocno padać. Deszcz i błoto są najlepszą zabawą prowadzącą do zrozumienia mechanizmów rządzących światem. Wystarczy, że z rynien leją się strumienie wody na podwórko, z który powstaje rzeka i pędzi w kierunku zarośli, mijając po drodze suchy piach zebrany pod wozownią. Potem zebrany strumyk płynie dalej rwiście byłym korytem, w poprzek którego można zbudować zaporę i umieścić w niej prymitywne koło młyńskie. Przednia zabawa jest już pewna, bo kręci się i można nim regulować szybkość przepływu wody przez łopaty koła, by nadać tępo spływowi kolejnych partyjek wody. Wkoło robi się błotko, z którego można budować różne ulepszenia tej zapory, np. tamki, które modelują przebieg głównego nurtu tak powstałej okresowo rzeczka. To miejsce jest wymarzonym do zabawy dla trój-letniego chłopca, który nie ma ciekawych zabawek, a jedynie konika drewnianego, wystruganego przez ojca. Zawsze problem jest ze spodniami! Konik może poczekać, bo zmoczony w wodzie i wybazgrany błotem budzi odruch obrzydzenia. Dopiero jak zaświeci słońce, osuszy plac, można będzie konika i spodnie zanieść na suchy piasek, tam obstawić i zaprzęgnąć do naprędce skonstruowanego wozu z gałęzi i klocków z drzewa, zaś spodnie naciągnąć na pupę. Można więc zakrzyknąć: wio koniku, wio! I namiastka powożenia jest już gotowa. Można dalej budować drogę dla zaprzęgu, a po krótkim odpoczynku przenieść cały zaprzęg o metr dalej i tak kilka razy, by na końcu drogi trafić na plac targowy. Tam leżą kamyczki, liście, patyczki, które można potraktować jako towary i wyładować nimi furmankę, nawrócić, ale i wracać z powrotem do domu. Po przyjeździe można rozładować je w szybko skonstruowanej szopie. Kiedy się już to zrobi i dalsza zabawa staje się mało atrakcyjna, bo czuje się głód i żołądek przylega do kręgosłupa, trzeba pobiec do polowej kuchni: do mamy po kawałek chleba z masłem i kubek mleka. Jeśli mleka nie ma, bo w blaszanej wirówce zostało spuszczone do studni, mama serwuje chleb ze smalcem i kubek gorącej, słodkiej herbaty. Po zaspokojeniu głodu czas na namysł: co by dalej robić?

W pobliskich chałupach, najczęściej pod strzechą, były obory ze stanowiskami dla konia, krów, owiec i kóz, a przy nich budowano gnojowniki, do których wyrzucano gnój od bydląt. Po obfitym deszczu gnój pływał jak wyspa, a obok niego deska po której na taczkach go wywożono. Trudno było małemu chłopcu nie skorzystać z okazji, by nie popuszczać sobie tratw na tym bajorze gnojówki. Niestety ciągle moczył krótkie spodni i przybiegał do domu, by wziąć następne, a mokre wrzucał do ogródka z kwiatami przy domu. Kiedy mama zauważyła brak spodni wczoraj wypranych, dzisiaj już zmoczonych w gnojówce, wymierzała karę patykiem po nogach i pupie. Samo bicie i ból nie były straszne, ale kazania moralne mamy obwiniającego chłopca za wszystkie możliwe grzechy tego świata. Budził się w nim ból psychiczny i świadomość, że się nie umie poprawić w swoich zachowaniach. Niestety – ten stan ducha szybko mijał i syn znów robił to, co poprzednio. I tak upływały kolejne dni wiosny i lata. Zaś jak rodzice wyjeżdżali na targ do miasta i zamykali go w domu na klucz, umiał sobie jednak otworzyć okno i przywołać starszego kolegę z sąsiedztwa, który przystawiał mu drobinę, by opuścił to chwilowe więzienie. I znów zaczynały się żeglowania w gnojowniku, znikały kolejne suche i czyste spodnie. A kiedy przyjechali rodzice z miasta było pewne, że skończy się to dupobiciem i tym najgorszym – kazaniem umoralniającym. Można było jednak na chwilę odpocząć, bo mama najczęściej przywoziła kilka landrynek dla pocieszenia podniebienia, albo pomidora, którego nie lubił, bo w domu nie rosły. Nawet posypanie go cukrem budziło obrzydzenie i ten zapach… bardziej wiercił w nosie jak zapach gnojówki.

Kiedy pogoda się popsuła, bo przyszły znad Ukrainy – jak mówił dziadek – długie deszcze i trzeba było zostać w domu, Jaś najbardziej lubił wtedy budowę domu ze szczypek, którymi palono w kuchni. Zabawa ta miała jednak pewną słabą stronę, bo sukcesywnie podkładano te drewienka pod kuchnię, gdzie gotował się obiad. Po pół dnia szczypek już nie było. Po zjedzeniu obiadu, najczęściej samej zupy, ojciec przynosił kolejną porcję szczypek i można było dalej bawić się w budowniczego drewnianego domku. Jednak kiedy młodsza siostra nauczyła się chodzić również chciała pomagać w budowie. Najczęściej taka obopólna konstrukcja kończyła się katastrofą budowlaną, a w konsekwencji bijatyką z siostrą. Nie ważne było kto rozpoczął awanturę, ale jako starszy Jaś powinien był, w opinii rodziców, ustąpić młodszej siostrze. Tak więc był karany za niesubordynację i brak opieki nad siostrą, np. podkręceniem ucha. Nie mogąc wygrać konkurencji budowlanej z siostrą, rozciągał duży koc i wczołgiwał się pod niego, by straszyć siostrę i by przejąć kierowanie zabawą. Siostra jednak zdaje się miała takie samo pragnienie, a więc wzięła szczypkę i zdzieliła podkocowego stracha przez łeb. On stracił świadomość i padł. I pewnie by się udusił, gdyby nie spostrzegawcza mama, która ściągnęła koc i kubkiem zimnej wody ocuciła syna, ocalając jego życie. Po tych zajściach i atrakcjach mama zapędziła Jasia do paciorka. Musiał się porządnie dwa raz przeżegnać, zmówić Ojcze nasz…, Zdrowaś Maryjo… i Aniele Boży, Stróżu mój…, Amen. Jaś po paciorku szybko dawał nura pod pierzynę i szybko zasypiał.

Zamyślenia

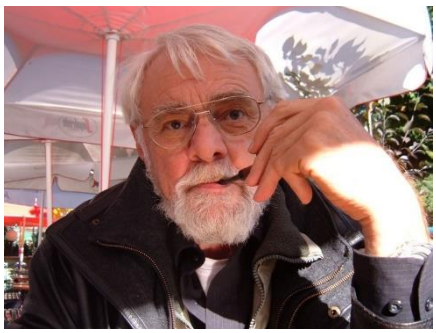

Fot. Andrzej Dębkowski

Dzienniki czasu zarazy

Przeszło nam żyć w czasach, kiedy nagle któregoś dnia wszystko w nas zaczęło się rozsypywać, drzeć i do dziś nie potrafimy tego w sobie scalić, skupić i jakoś ześrodkować, stając się zatruci sobą. Oto zaraza, która spadła na nasz świat, zaczęła przepajać wszystko, stając się jednym, wielkim wyzwaniem. Dziki niepokój, który w nas zaczął kołować, gnać, pędzić i gdzieś popychać, zawładnął naszym życiem. Tak popychani są ludzie pióra do tego, aby opisać słodami ten czas zarazy w swoich dziennikach, zapiskach, notatkach, utrwalając w nich swoje codzienne niepokoje serca, udręki myśli i doświadczenia, a przecież takie niepokoje nic nie tworzą, a raczej wszystko rozprzęgają.

Oto w prasie literackiej i nie tylko, już w ubiegłym roku zaczęły ukazywać się zapisy o zarazie, która ogarnęła świat, zbierając swoje tragiczne żniwo. Autorzy nie popisują się elokwencją, piszą o tym, co ich spotyka u bram niewiadomego tam, gdzie są i gdzie przyszło im żyć i tworzyć, odseparowani w zasadzie od wszystkiego. Przepływa przez te zapiski strumień ich świadomości, a równocześnie jest tak mało istnienia w otaczającym ich i nas piekle. Zapisując te dni, swoje własne i innych przeżycia, może podświadomie pragną, aby czytelnik pogłaskał ich po głowie, przytulił za ich trud i podziękował łzami zrozumienia i solidarności z nimi. Ale to może działanie nie na teraz, kiedy osaczył nas czas niepokoju i radości ducha, ale czas separacji i zastoju. Dla mnie jako czytelnika opisać ten czas, dać świadectwo literackie to tak, jak wykuć w twórczym mozole pomnik pamięci.

W zaprzyjaźnionym z nami miesięczniku „Akant" czytam z zainteresowaniem „Dziennik czasu zarazy" Stefana Pastuszewskiego i „Dziennik 2020" J. Herolda. Znakomite. Autorzy nie zakładają białych rękawiczek na czarne myśli, są to ścisłe zapisy myśli, gdzie nie szafuje się słowem, myśli bez ozdobników, bo przecież otacza autorów czas ponury, czas coraz bardziej oszalałego teatru życia, teatru cywilizacyjnego. Jest to równocześnie czas docierania do samego siebie, do głębi, lub płyciny naszego życia. Różnie z tym sobie radzimy. Jakże przypomina mi to nocną rozmowę Jezusa z Nikodemem. Dzienniki czasu pandemii (wygłaskane słowo), są kalendarzami minionego roku i początku tego nowego. Czytamy w tych zapiskach, że ich autorzy nie lubią radia i telewizji. One zwiększają gwar i hałas tego świata wokół zarazy, kiedy ludziom zamkniętym choćby na kwarantannach, potrzeba więcej ciszy i światła. Zmuszeni jesteśmy do zmiany trybu swego dotychczasowego życia. Codzienne ludzkie losy mieszają się między dzisiaj a jutro. W utrapieniach tego czasu wypełniają nas niepokoje o swoich bliskich, przyjaciołach, znajomych, zaś codzienne wybory drastycznie ograniczone, odbierają nam ostatni przystanek osobistych wolności.

Pisała Anna Kamieńska: „O wierze, jak o kulach idę, kuśtykam...". Zanim powróciła do tej wiary, była ateistką. Wróciły do niej wszystkie rzeczy pierwsze. Pisała też: „Wiara, nadzieja, miłość. W tym uświęconym ustawieniu nadzieja jest więźniem prowadzonym przez dwóch uzbrojonych strażników. Jest najbardziej bezbronna...". Mimo to idźmy z tą wiarą i nadzieją ku radości tych świąt Wielkiej Nocy, czego życzę z całego serca.

Kazimierz Ivosse

Juliusz Wątroba

Myśli

*

Zmarszczki to blizny po ukąszeniach czasu.

*

Przysłowia mądrością bezmyślnych.

*

Lepiej na pewnej ziemi, niż w niepewnym niebie.

*

Nie przepraszaj, że żyjesz – to nie twoja wina.

*

Czuła się dotknięta tym, że jej nie dotykał.

*

Diabłu nie musisz rogów przyprawiać.

*

Pesymista zasmuci nawet gazem rozweselającym.

*

Życie na kocią łapę psu na budę.

*

„Lubię być zaskakiwana!" – zwierzyła się kura kogutowi.

*

„Dopiąłem swego!" – ucieszył się ostatni guzik.

*

W szarej strefie kolorowo.

*

Na szczęście jest tyle nieszczęść, że każdemu wystarczy.

*

Rybie chóry nie fałszują.

*

Tak żyć, by nie uwierać bliźnich swoją obecnością.

*

Sztuka jest peryskopem, przez który zaglądam do nieba.

*

Sęk – wspomnienie gałęzi.

*

Nie będzie dobrego chóru z samych solistów.

*

Gdy masz wszystko w małym palcu, to musisz mieć pustą głowę.

Zdzisław Lipiński

znów

sam na brzegu zimnego morza
nadzieje nie powracają zza horyzontu
znów kładę się na piasku
ptaki już inne inaczej patrzą
tylko przestrzeń taka głęboka
rozglądam się – nikogo
przenika mnie czas
zastyga cisza

wernisaż

już chyba pora wyjść
obejrzałem wszystkie obrazy
wypiłem czerwone wino
nasyciłem krokami parkiet
wysłuchałem oratorium przemów
rozmawiałem z malarzem -

po białym zgiełku spaceruje pająk

w drodze

jestem zmęczony jakbym
przebiegł maraton a ja
tylko przeżyłem dzień
nic nie zgubiłem w drodze
nie znalazłem – a mam

Kozetka (64)

Gabinet cieni. Romantyczny brutalizm

The future is much brighter than the past. You just have to find the Light Switch.

Przyszłość jest znacznie jaśniejsza niż przeszłość. Musisz tylko znaleźć włącznik światła.

Debashis Mridha

Joanna Friedrich

Każdy ma swój gabinet cieni. Kiedyś na pociechę przed upływem czasu i nieuchronną wymianą aktorów na scenie naszego życia, inaczej zwaną zmianą warty, wymyśliłam (nie pierwsza zresztą) podręczny koncept, według którego, „nie ma ludzi niezastąpionych". Pojawiają się następni i następni, a niektórzy tak bardzo przypominają pierwowzór, że można by pomyśleć, że przyciągamy Te Same Postaci, tylko w innej skórze, w innym przebraniu.

Szczerze mówiąc, kiedy coś w tym stylu chodziło mi po głowie, odwiedził mnie Maciej, zobaczył zdjęcie z nową przyjaciółką i powiedział, że wygląda jak Natalia, nasza wspólna przyjaciółka z liceum.

Kiedy coś Ci chodzi po głowie i ktoś wypowiada to na głos, upewniasz się, że coś w tym musi być.

Coś w tym jest.

Natura nie znosi próżni.

(Ja również: Na swoją obronę, mogę dodać za Kapuścińskim, że rzeczywistość możemy podzielić na faktycznie istniejącą i wyobrażoną, życzeniową – odzwierciedleniem tej drugiej jest moje pisanie.)

Za chwilę minie rok, jak tu mieszkamy, chodzę po tej puszczy i chodzę, zapuszczam się i zapuszczam i nadziwić się nie mogę ciągle nowo odkrywanymi zakątkami. Sąsiadka, pani z Lusią, mówi, że w końcu trafię na monstrualne rododendrony i zakocham się na amen.

Z niektórymi osobami w życiu jest się bliżej bo w ich towarzystwie łapie się bakcyle (na resztę życia).

Podczas równomiernego marszu, kiedy próbuję aparatem w telefonie złapać grę świateł w moim ulubionym „łysym lesie" (łysy tylko o tej porze roku, a poza tym właściwie - miętowy), przypominam sobie, kiedy to maszerowanie weszło mi w krew. Był rok 1989 i na wakacje do mojej babci przyjechała ciocia Dora. Nie widziały się od 1945 roku, bo mama Dory była Niemką i rodzina wyprowadziła się do Kolonii.

Dziewczęta skończyły razem prywatne gimnazjum żeńskie i wspomnieniom nie było końca. Słodkim, bo z przed wojny.

Dorosła Dora chodziła w spodniach (moja babcia – nigdy) i uwielbiała piwo. To ona zabierała mnie na długie wędrówki doliną Warty, podczas których robiła dziesiątki zdjęć.

Czasem pytała mnie, „gdzie tu się można napić piwa?" ale moi rodzice wytłumaczyli jej, że Warta, to nie Ren. Na piwko z kiełbaską na brzegu trzeba było jeszcze trochę poczekać.

Został mi po niej zapach wody kolońskiej i miłe wspomnienia. Dostałam od niej pierwszy, przezroczysty lakier do paznokci.

Teraz sama maszeruję i rozglądam się czasem za piwem ale znowu jestem w miejscu, gdzie prędzej spotkam żywego żubra, który przywędrował z Wałcza, niż złocisty napój z bąbelkami.

Nie spotkałam jeszcze „Drugiej Dory".

Kto wie, może zobaczę ją w lustrze za 30 lat?

Hiacynt Górnicki

Inny podróżny

Pamięci Adama Zagajewskiego

Inny podróżny po całodziennej wędrówce
Krętymi uliczkami w dół w górę
Wśród kamiennych portali rodowych grobowców
Owalnych nagrobków kolumnad i ruin
Usiadł na progu starej świątyni
Z pustym cokołem na którym stał kiedyś Św. Jan z Dukli
Gwar z pobliskiego targowiska cichł w cieniu przykościelnych lip
Zapadał zmierzch siąpił deszcz
Podróżny jadł chleb
Gdy starszy mężczyzna bijąc się w piersi ściśniętą dłonią
Skłonił przed nim głowę jak przed świętym mężem
A chleb z wyciągniętej dłoni podróżnego
Przyjął do ust jak komunię świętą
Sława Jesusu Christu! Sława Jesusu Christu!
Powtarzał przy tym i bił pokłony

Michał Kaczmarek

Kawalerka

stoją na ławie
cztery piwa w puszce

by zmienić zapach skórka jabłka w tytoniu

czas nie ma ochoty płynąć by mieć czyste
sumienie przesuwa wskazówki

nie zdarzy się nic
nie zastukają kolędnicy

pod sufitem gniazda
uwite z dymu papierosowego
w nich niejasne wspomnienia

oznaką nadziei
telewizor od pana Kazimierza używany ale w dobrym stanie

pytań niewiele tylko odpowiedzi
gdyby nie wódka mogło być inaczej
gdyby nie telefon próba samobójcza byłaby udana

cisza
nazwana programem w radiowej Dwójce kolejną książką Dostojewskiego

spokój
którego niektórzy się boją inni
spłycają w nim oddech coraz bardziej
bardziej
aż znika

Listy do Pani A. (153)

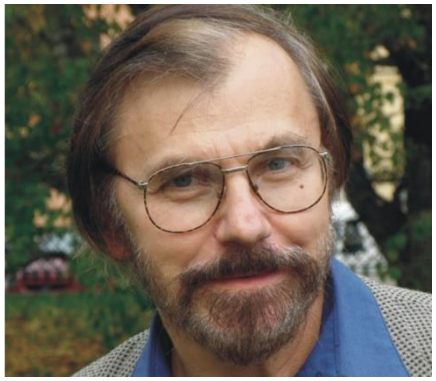

Poezja i wydmuszki

Droga Pani!

Bardzo wstrząsnęła nami śmierć profesora Jacka Łukasiewicza, znakomitego poety, naukowca, życzliwego, prawego człowieka. Był zaprzyjaźniony od dawna z rodziną Ani. Poznałem Jacka Łukasiewicza też dosyć dawno, przy okazji jakichś warszawskich imprez literackich. To chyba były lata siedemdziesiąte. Kiedy dużo później spotkałem go we Wrocławiu, od razu mnie poznał. Potem kilkakrotnie z nim rozmawiałem, przychodziliśmy z Anią na jego spotkania autorskie. Obiecywałem sobie, że po pandemii oraz po jego pobycie w szpitalu z powodu złamania nogi, znowu się zobaczymy, porozmawiamy, a może będzie okazja odwiedzić go w domu. Tymczasem sprawdziły się słowa poety Jana Twardowskiego „śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą". My nie mogliśmy się bardzo pospieszyć, bo wybuchła pandemia. I z wielkim żalem dowiedzieliśmy się, że już za późno...

Zawsze byłem pod wrażeniem jego poezji, oszczędnej, ale pełnej znaczeń, wciąż aktualnej. Bardzo mi bliskiej. Zresztą bliskie mi było całe to pokolenie. Jacek Łukasiewicz urodził się w tym samym roku, co Stanisław Grochowiak, który początkowo mieszkał we Wrocławiu, podobnie jak prozaik Józef Szczypka, mój późniejsze szef w Redakcji Literatury Współczesnej IW. PAX.

Z tym pokoleniem czułem się bardziej związany niż ze swoim własnym. To była inna, rzadko już dzisiaj spotykana, formacja; utalentowani pisarze z prawdziwego zdarzenia. Wielki żal, iż ludzie tacy jak Łukasiewicz odchodzą. Cóż, okrucieństwo prawa natury, wobec którego – jak Pani wie – jesteśmy bezsilni.

Tamci poeci byli autentycznymi erudytami, ale zarazem artystycznymi indywidualnościami. Powstawała wtedy poezja o wyrazistym obliczu, odzwierciedlająca osobowość autorów, przedstawiająca oryginalne wizje świata, szanująca ciągłość kultury.

Dzisiejsza poezja, często bez dystansu, bez odrobiny humoru czy przekory, nie daje się czytać, choćby była niezwykle „mundra". Oni pisali z głębi siebie, w sposób naturalny, ale wszak nie bezmyślny i banalny. Dlatego ich twórczość nie była koturnowa. Ustrzegli się niebezpieczeństwa wpadnięcia w snobistyczne koleiny, stania się bardziej eseistami zaledwie relacjonującymi znane skądinąd „prawdy".

Powiem Pani, że też nie interesuje mnie psychika autora i jego prywatny światopogląd. Recenzując nie ustawiam się na pozycjach psychiatry czy „znawcy" jakichkolwiek zagadnień, tylko obcuję z samym tekstem. Patrzę jak coś zostało napisane, i o czym utwór opowiada; co w nim jest oryginalnego, niekonwencjonalnego. Ile też samego autora jest w tekście, jaki jest jego stosunek do świata, filozofii, języka. Głuchy natomiast jestem na martwe wiersze kulturowe, pełne „odniesień". Na szczęście takich poetyckich wydmuszek, markujących rozległe horyzonty intelektualne, jest mniej; składnie napisanych, nawet z kulturą literacką, ale jednak pustych.

Tymczasem Stanisław Nyczaj pokusił się o wydanie książki podsumowującej – jak głosi tytuł – „Staszowskie Lato Literackie 2012-2019". Podtytuł tej książki-albumu brzmi „Plenery z duszą". Znalazły się tam utwory i wypowiedzi głównie poetów, ale i prozaików, biorących udział w tej osobliwej i nietuzinkowej imprezie.

To tylko osiem lat. Dodajmy, że plenerowe spotkania zaczęły się 2009, dotrwały do 2019 roku, dopóki nie przerwał ich na chwilę koronawirus. Jednak nie damy się! Trudno bowiem pomyśleć, że taka impreza mogłaby zakończyć działalność. Ma ona wielkie znaczenie integracyjne, nie tylko dla literackiego środowiska kieleckiego. Brało w niej udział bardzo wielu poetów. W „Plenerach z duszą" znalazły się utwory i biografie około 50 autorów. Wymienię Pani zaledwie kilkoro z nich: Joanna Babiarz, Janusz Szot, Krystyna Cel, Krystyna Konecka, Benedykt Kozieł, Jan Lechicki, Joanna Nowocień, Irena Nyczaj, Stanisław Nyczaj – inicjator i wieloletni animator imprezy, Alicja Patey-Grabowska, Uta Przyboś...

Wiele tu, jak wspomniałem, wypowiedzi: lirycznych, humorystycznych, przypominających czas spędzany w przyjacielskim gronie poetów. A uczestnicy mieli o czym opowiadać. Bardzo dużo tutaj kolorowych zdjęć stanowiących wspaniałą dokumentację, wiele anegdot ilustrujących klimat tych niepowtarzalnych spotkań. Cała książka wydana została na wysokim poziomie poligraficznym, nie mówiąc już o merytorycznym. Świetny wstęp Stanisława Nyczaja przypomina genezę plenerowych festiwali, zachęca do lektury tej bardzo interesującej antologii.

Ukazał się trójjęzyczny, tym razem w książkowym wydaniu (część nakładu w twardej oprawie), numer „Poezji dzisiaj" (143/144), poświęcony osobie Barbary Jurkowskiej-Nawrockiej. Ciekawa, przejmująca pozycja ilustrowana wieloma wzruszającymi zdjęciami. Znakomity jest poemat „Listy do Żony w zaświaty" oraz prozatorskie zapiski-wspomnienia Aleksandra Nawrockiego, zatytułowane „Ode mnie". I te utwory są w książce najważniejsze.

Wszyscy byliśmy wstrząśnięci odejściem Pani Basi. Stąd wiele wspomnień oraz wierszy Jej właśnie poświęconych znalazło się w tym numerze. A także utwory samej Barbary Nawrockiej. Przez tyle lat znajomości nie wiedzieliśmy, że jest aż tak świetną poetką. Była bardzo skromna, nie ujawniała się poetycko, a przynajmniej bardzo rzadko. Numer „Poezji dzisiaj", o którym piszę teraz do Pani, jest zarazem cennym dokumentem.

Życie literackie trwa na przekór pandemii. W końcu twórczość pomaga przetrwać najtrudniejsze chwile, może stać się inspiracją i swojego rodzaju terapią. Powstają wtedy dzieła znakomite, jak choćby tom Andrzeja Kosmowskiego „ocean zdjął wiatr z moich żagli".

Przemijanie, czas i jego względność, cisza i wieczność – to motywy tkwiące w podskórnej warstwie utworów Kosmowskiego. Oczywiście, poeta nie mówi o tym wprost. Oglądając realną rzeczywistość i opisując ją, widzi „pijanego charona śpiącego pod wierzbą", potem obserwuje, jak odpycha on „wiosłem łódź / od naszego brzegu". Są tutaj wiersze celnie zmetaforyzowane, skonstruowane za pomocą plastycznych, bardzo konkretnych obrazów. Według autora najważniejsze jest doświadczenie, które bezpośrednio wpływa na kształt naszej twórczości. Poeta podsumowuje: „nareszcie porządek w marzeniach". A więc spokój wynikający z poczucia „czystej rzeczywistości", jak również z twórczego aktu. To świetne wiersze. Polecam je Pani, zwłaszcza w obecnym czasie, ale są one ze wszech miar uniwersalne.

Mieliśmy z Anią akcję ratunkową. Wychodzimy z klatki, a tu po chodniku opierając się na przednich łapkach pełznie wiewiórka. Tylne bezwładnie ciągnie za sobą. Widocznie potrącił ją samochód. Ania zadzwoniła do straży miejskiej. Odesłali ją do jakiegoś punktu pomocy dla zwierząt. Ogłosiliśmy to na forum osiedlowym. Od razu przyjechała jakaś pani samochodem i odwiozła ją do specjalnego punktu sanitarnego. Potem jeszcze pojawiło się kilka osób z chęcią udzielenia pomocy. Wiewiórka – jak potem napisano na tym forum – przeżyła i została opatrzona, i odwieziona do łódzkiej kliniki na kurację. Tak to bywa z „naturą w wielkim mieście". A z ludźmi różnie. Stale się słyszy o zwyrodnialcach, a tu tyle osób empatycznych. Tylko wrona nie była empatyczna, bo kiedy wiewiórka chciała odpocząć, to ptaszysko przyleciało i zaczęło ją ciągnąć za ogon. Została zaraz przez nas odpędzona. A swoją drogą lubię wrony, są zabawne i bardzo inteligentne.

Życzę Pani słońca, ciepła oraz Wielkanocnej otuchy i optymizmu –

Stefan Jurkowski

Rozmyślania

Marzenia za światem Daisy

Życie bogatych i wpływowych osób zawsze fascynowało. Od najdawniejszych czasów ludzi nurtowało pytanie, jak to się dzieje, że są tacy, którym nigdy niczego nie brakuje? Mają nieprzebrane bogactwa i sławę... Najbardziej trywialna odpowiedź brzmi: z pracy! Ale jak to się dzieje, że w przypadku ludzi na najwyższych szczeblach władzy, bogatych przedsiębiorców, tych z królewskimi i książęcymi rodowodami, praca tak naprawdę nie była rzeczą pierwszorzędną. Może właśnie dlatego, te marzenia za takim życiem pociąga nas aż tak bardzo, że lubimy śledzić losy bohaterów świata dalekiego od naszego, powszechnego, zwykłego, takiego pospolitego...

Andrzej Dębkowski

Zbigniew Niedźwiecki (Ravicz) – wrocławski prozaik i dramaturg opublikował drugi tom powieści o księżnej Daisy, a dokładnie o Marii Teresie Oliwii Hochberg von Pless, angielskiej arystokratce, która pełniła rolę księżnej pszczyńskiej, była hrabiną von Hochberg i baronową na Książu. Daisy pochodziła ze zubożałej rodziny arystokratycznej Cornwallis-West. Urodziła się w 1873 roku w hrabstwie Denbighshire w Walii, w zamku Ruthin. Miała brata George'a Fredericka, późniejszego ojczyma Winstona Churchilla i siostrę Konstancję Edwinę.

Jak jest napisane na okładce książki *„Daisy – błękitna tożsamość" to powieść o księżnej von Pless – ostatniej pani na zamku Książ i w Pszczynie, a książka powstała w oparciu o pamiętniki bohaterki oraz źródła historyczne dotyczące arystokracji europejskiej przełomu XIX i XX wieku. Oprócz walorów literackich, powieść zawiera sporą dawkę wiedzy na temat jednej z najbardziej znanych postaci okresu „belle epoque". Chociaż świat książąt pszczyńskich zniknął już za symbolicznym horyzontem przeszłości, to jednak nie przestaje nas fascynować swoim blaskiem. Można się o tym przekonać z lektury książki.*

Zbigniew Niedźwiecki zadał sobie wiele trudu i włożył mnóstwo pracy, żeby oddać tamte czasy i epokę z tak wielką pieczołowitością. W tej powieści liczy się każdy, najdrobniejszy detal. Całe tło historyczne ma swoje uzasadnienie, ale jakże byłoby ono ubogie, gdyby nie było poparte szczegółami z życia codziennego bohaterki.

Od pierwszych stron pierwszego tomu śledzimy losy młodziutkiej arystokratki, która w bardzo młodym wieku została wydana za mąż za pruskiego księcia i musi odnaleźć swoje miejsce w nowej rzeczywistości. Nie jest to jednak takie proste, gdyż nauczona swobody i wolności musiała zmierzyć się z nową kulturą, kulturą pruskiej dyscypliny. Prysły marzenia młodziutkiej Daisy o cudownym życiu księżniczki.

Niedźwieckiemu udało się przedstawić prawdziwe życie księżnej zgodnie z faktami historycznymi, ale przecież nie byłoby to zbyt przyciągające, więc postanowił wpleść wątki pochodzące wprost z pamiętników księżniczki. Do tego wszystkiego dodał własną wyobraźnię. Właśnie ten miks spowodował, że czyta się tę powieść niezwykle emocjonująco. Ze strony na stronę, z kartki na kartkę wzrastają nasze emocje, chcemy już być dalej, chcemy wiedzieć, jak potoczą się dalsze losy księżnej von Pless. Autor tak prowadzi swoich bohaterów, żeby nie zanudzić nas ilością historycznych faktów – dodaje do nich odczucia kobiety, jej komentarze, przemyślenia, śmiało sięga po kolejne zapisy Dzienników, żeby postać księżnej stała się jeszcze bardziej żywa, bardziej prawdziwa, bardziej nam bliska. Uważam, że to doskonały zabieg, gdyż dzięki niemu udało się Niedźwieckiemu odtworzyć świat miniony, świat którego już właściwie nie ma, a tam, gdzie są jeszcze pozostałości arystokratycznych inklinacji, są one już tylko marną namiastką tego, czego mogli doświadczyć bohaterowie powieści. I to jest chyba największa siła tej książki plus oczywiście doskonały język, którym autor operuje. Dzięki temu powieść o księżnej Daisy staje się czymś więcej, niż tylko kolejną sfabularyzowaną historią o odchodzącym świecie bohaterskich książąt i zagubionych księżniczek. To kawał historii prawdziwej.

Zbigniew Niedźwiecki ukazał nam księżną von Pless nie tylko jako chodzącą doskonałość, ale jako kobietę z krwi i kości, taką która zmaga się ze wszystkim swoimi problemami – która kocha i chce być kochaną, która staje przed trudnymi wybory natury emocjonalnej, chociaż na przeszkodzie życia takiego, jakiego chciałaby doznać, stają narzucone jej przez pozycję społeczną przeszkody.

Stara się słuchać wewnętrznego głosu i próbuje zerwać z fałszywą przyzwoitością, ale jest to bardzo trudne, gdyż presja klasy społecznej, do której należy, jest niezwykle silna.

Ta książka, to obraz odchodzącego w zakamarki zapomnienia arystokratycznego społeczeństwa nowoczesnej Europy, to próba rekonstrukcji tego fragmentu historii, który trudno będzie wskrzesić, gdyż życie w czasach ponowoczesnych nie pozwala na sentymentalne zachowania.

W „Błękitnej tożsamości" odnajdujemy dokładne opisy sposobu życia do roku 1943. Zbigniew Niedźwiecki dzięki swej doskonale przemyślanej i skonstruowanej powieści przenosi nas do czasów, gdy na zamku w Książu panowała piękna Daisy. Pozwala ją lepiej poznać i polubić. Tym, co wyróżnia tę książkę spośród innych biografii księżnej Daisy von Pless, to zwrócenie uwagi na jej życie osobiste, pokazanie jej uczuć, tej wewnętrznej siły rozsadzającej ją coraz bardziej.

Czytałem wiele książek i opracowań dotyczących „walijskiej Róży", jak niektórzy nazywali Daisy. „Błękitna tożsamość" jest jednak wyjątkowa, bo pozwala nam doświadczyć tego mało znanego świata z tak wielką mocą, że chciałby się śledzić jego losy w nieskończoność. A przecież nie jest to możliwe...

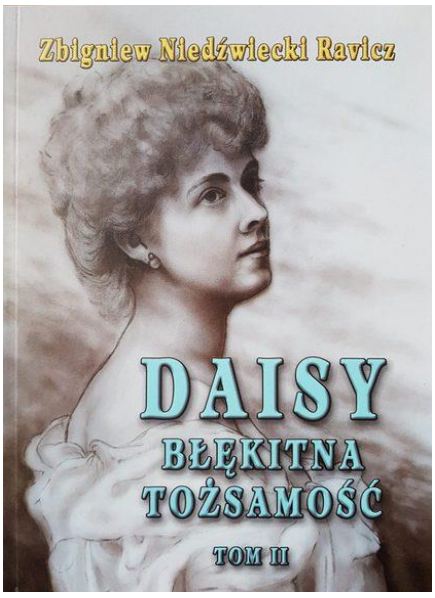

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (61)

(fragmenty)

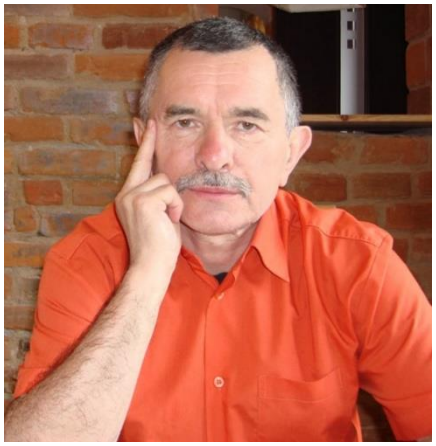

Dwa zdania

Ze spotkania z Wodeckim prowadzonego przez Wacka Krupińskiego, autora książki „Pszczoła, Bach i skrzypce", kolegę z mojej dawnej redakcji „Dziennika Polskiego", zapamiętałem dwa zdania:

– Bo dziś większość artystów nie wie, czego nie wie. A ja wiem, czego nie wiem, bo należę do generacji perfekcjonistów (to trafne spostrzeżenie – przyp. J.B.).

Oraz: – Pamięć ma bogatą wyobraźnię (to o skłonności do konfabulacji pana Zbyszka).

Poza tym śmiałem się też z innych dowcipów i anegdot, ale ja mam słabą pamięć do dowcipów, tak że następnego dnia zapomniałem, z czego się śmiałem.

* * *

Przyjemność patrzenia nie tylko na obrazy Wiesława Ochmana (wernisaż zorganizował Jerzy Skrobol, autor ciekawej książki o wielkim tenorze), lecz i na niego samego, światowca tryskającego werwą i humorem, urwisa z Pragi... Przyjemność słuchania jego urodziwej polszczyzny, anegdot, podziwiania ciętego języka.

Przybywa słońca

Z Józefem Baranem rozmawiają poeci: Jadwiga Malina i Eryk Ostrowski:

E.O.: – Wydajesz się przynależeć do pisarzy, których nie da się przypisać do jednego pokolenia. W twojej twórczości nie odzwierciedliły się problemy i przemiany pokoleniowe, które są znakiem rozpoznawczym rówieśnej ci Nowej Fali.

J.B.: – To prawda, nie mieściłem się w grupach czy pokoleniach, raczej zawsze odstawałem... Nowa Fala była dla mnie za bardzo upolityczniona, dlatego w latach 70. polemizowałem na łamach najważniejszych pism kulturalnych z programem grupy „Teraz", stworzonym przez kolegów po piórze z tego samego pokolenia, proponując zamiast formuły „tu i teraz" – formułę „momentu wiecznego"; z niektórymi znalazłem zresztą po latach wspólny język. Nie należałem też do Tylicza, co próbuje mi się wmawiać. Owszem, przyjaźniłem się z poetami z tej grupy: Adamem Ziemianinem czy Andrzejem Warzechą, przyjezdnymi jak i ja do Krakowa z głębokiej prowincji, a więc uwrażliwionymi na krajobraz i przyrodę. Wierzę, że pisanie to indywidualny wysiłek człowieka ślęczącego nad kartką papieru...

E.O.: – Należysz – programowo – do tych twórców pragnących ocalić w sobie dziecko, każdym nowym wierszem rozpoznające i nazywające świat – niejako odrzucające wyuczone lekcje. W recenzji nazwałem cię Piotrusiem Panem, który, jak pamiętamy, „widział w swoim życiu bardzo wiele tragedii, ale je wszystkie pozapominał".

J.B.: – To może zbyt piękne, żeby było w pełni prawdziwe, ale skoro tak to widzisz...

E.O.: – W historii literatury mamy wielu podobnych pisarzy, ale rzadko trafia się poeta, dla którego nie doświadczenie, ale pierwsze wrażenie jest decydujące. W Wielkiej Brytanii takim poetą był John Betjeman, w poezji amerykańskiej chyba najbardziej William Carlos Williams, u nas – może Miron Białoszewski? Udało im się w wierszach przedłużyć moment inicjacji, który dla poezji stanowi skarb. Ty od lat – znów jakby na przekór doświadczeniom – oddajesz hołd budzącej się młodości. Młodość jest twoim sojusznikiem – w literaturze, więc chyba i w życiu. W „Rondzie" piszesz: „starość nie istnieje / wyczerpują się tylko / stare nadzieje".

J.B.: – Na pewno mój organizm mógłby się pochwalić zdolnością do szybkiego odnawiania się i wielką żywotnością, odziedziczoną pewnie po mamie, która ma 98 lat (...)

J.M.: – Zauważyłam, czytając ostatni tomik „Rondo", że z biegiem lat ton twoich wierszy łagodnieje, ale nie jest to łagodność nasuwająca skojarzenia konformistyczne. Powiedziałabym raczej, że wkrada się do nich humor, żart i ironia. Nawet kiedy piszesz o śmierci, chorobie, utracie, zachowujesz dystans.

J.B.: – Chyba od początku starałem się jakoś pożenić w wierszach liryzm z humorem. Choć... w momentach, gdy po raz pierwszy się zestarzałem, a więc w wieku chrystusowym, czy potem mając lat czterdzieści parę – moje wiersze bywały zacienione zbyt „łatwym pesymizmem". Te egzystencjalistyczne tony to chyba gorsze okresy w czterdziestoletniej twórczości, gdy oddalałem się od natury i przyrody, traciłem autoironiczny dystans do siebie, wpadałem w jakieś koleiny pesymizmu. Osobiście wolę pogodnego Barana. No cóż, poezja bywa dla mnie kołem ratunkowym, szalupą, gdy wypadam za burtę...

E.O.: – Masz za sobą doświadczenie ciężkiej choroby, życia na krawędzi. Zapis tego doświadczenia znalazł się m.in. w tomie „Taniec z Ziemią" i dziennikach. Podobne przejście różnie wpływa na twórczość. Ale lektura „Ronda" pokazuje, że dla ciebie to rozdział już programowo zamknięty. Można odnieść wrażenie, że w tej poezji przybywa słońca...

J.B.: – Należę do szczęśliwców, którym udało się pokonać raka. Możliwe, że to traumatyczne przeżycie zapoczątkowało nowy etap w moim pisaniu, ale o tym potrafi powiedzieć ktoś śledzący ją z boku... W tomie „Taniec z Ziemią" są jeszcze echa choroby, ale w ostatnim zbiorze „Rondo" ten rozdział – jak powiedziałeś – został zamknięty. Człowiek przyzwyczaja się szybko do dobrego, ale również szybko zapomina o tym co złe...

J.M.: – Często w swoim pisaniu podkreślasz małość i marność ludzkiej egzystencji na de bezmiaru kosmosu. Ale jest w tym spostrzeżeniu wiele troski, nie odwodzisz czytelnika od afirmacji świata i istnienia, mówisz mu – spójrz w górę, rozejrzyj się...

J.B.: – W szpitalu widywałem ludzi mających przed sobą rok, dwa i umiejących się cieszyć. To była nie tylko upokarzająca lekcja cierpienia...

Nie tak dawno czytałem kontrowersyjną książkę o moim ulubieńcu w polskiej literaturze Ryszardzie Kapuścińskim, napisaną przez Artura Domosławskiego. Stwierdzał w niej, że wielki reporter mimo niespożytej witalności i wrodzonej, wydawałoby się, pogody ducha był podszyty, gdzieś w głębi duszy, świadomością tragizmu istnienia. Tę świadomość pokrywał aktywnością, uśmiechem, bo mężczyźnie nie przystoi się skarżyć. Sądzę, że jestem do niego podobny. Dlatego humanizm Kapuścińskiego był mi tak bliski. Moje wiersze jemu zresztą też, czemu dawał parokrotnie wyraz na piśmie. (...)

E.O.: – Wprawdzie literatura, a poezja tym bardziej, to nie Caritas, do którego udają się czytelnicy w poszukiwaniu otuchy, jednak twoje książki są nie tylko czytane, ale i potrzebne ludziom, chyba dlatego, że dają nadzieję.

J.B.: – Pisałem już gdzieś, że gdy czytam u poety, że „wszystko to marność, bo i tak rozsypiemy się w proch", to nudzą mnie takie konstatacje, choć może trochę mniej niż pieniące się dziś wiersze o pisaniu wierszy, które powstają, gdy poeta nie ma o czym pisać...

Dlaczego mimo wszystko chcę dawać nadzieję? Po pierwsze dlatego, że jak napisałem w wierszu „Hymn niepoprawnych optymistów"– skoro „zdarzył się nam / niczym ślepej kurze ziarno / pełny los na loterii materii / nieprawdopodobny cud pod słońcem narodzenia / to dlaczego nie mamy marzyć / że się zdarzy / dalszy ciąg wydarzeń / włącznie z cudem wiecznego istnienia".

Po wtóre – wiersz ma być dla autora i czytelnika niespodzianką, zaskakiwać ot takim choćby stwierdzeniem, że jesteśmy nieśmiertelni, mimo iż zdrowy rozsądek wskazywałby, że nie (...).

cdn.

Odsłony wędrówki poety

Nie ma wątpliwości, że autor tomu pt. „Rozniecanie" – **Ryszard Wasilewski** czuje się osamotniony w otaczającym go świecie zdominowanym przez tzw. fakty medialne, choć aktywnie uczestniczy w nim swoją twórczością. Otacza go przysłowiowa „galaktyka wiadomości", których nie jest w stanie do końca sprawdzić. Czuje się również jako uciekinier do światów alternatywnych, a ten rzeczywisty postrzega przez liczne maski, izolacje i inne restrykcje związane z szalejącą pandemią. Odnosi wrażenie, że nie współgra z logiką tego świata, a szczególnie tą jego stroną, którą budują różni artyści: poeci, muzycy, rzeźbiarze, architekci. Treści jego utworów inspirują fakty nieustannie emitowane i transformowane przez media, a właściwie mediosferę, która zdominowała kulturę duchową współczesnego człowieka.

W utworze pt. „notatki z odosobnienia" otwierającym tomik poeta pisze: (...) *rozczulam się nad sobą / dopóki nie usłyszę / zobaczę w obrazach / których nie mogę zatrzymać / jak wielu nienasyconych życiem / ma pecha / bo trafili tam gdzie jeden respirator / na czterdziestu / i ledwie zdążą pomyśleć / czy będę przyjęci / w jakimś innym świecie //* (...).

Nie ma wątpliwości, że jedną z centralnych inspiracji poety jest niekończący się rozrachunek sumienia wzbudzany przez ciśnienie szalejącej epidemii, która obecnie kreśli horyzonty istnienia ogółu ludzi na planecie. Nieustannie w autorze pogłębia się tęsknota za realem, choć ma wątpliwości czy jest on osiągalny i kiedy się to stanie. W rezultacie zaczyna się bać otaczającego świata i siebie samego w nim zanurzonego. Zachodzące w nim zmiany postrzega jako tryumf „rozbuchanych technologii", które na masową skalę używamy w naszym świecie, a które nieustannie kwestionują naszą tożsamość i zmuszają do czuwania nad nią, ale i do prób jej przebudowy.

W kolejnych wierszach opisuje swoje stany zwątpienia we własne istnienie oraz nasze człowieczeństwo. Uważa, że stajemy się podobni ptakom i ich zwyczajom. Momentami wydaje mu się, iż osiodłał UFO i chce by być (...) *bez ukorzeń / przyklęków / coraz bliżej / do pragnień / i wciąż dalej od leków // aby poznać / bez wstydu / swoją nagość*.

Analizuje alternatywne znaczenia formuły: „myślę więc jestem", ale *de facto* to poczucie bycia człowiekiem, członkiem ludzkiego stada budzi w nim fundamentalny niepokój, gdyż nie ma do niego „instrukcji obsługi". Dokonuje również anatomii pór roku, głównie wiosny i jesieni, by się przekonać, że ich atrybuty są względne, a u ich podłoża bytowego słychać szum „rzeki przemijania".

Życie w mieście, albo „życie miasta", praktyki religijne stają się obecnie – w opinii autora – zaprzeczeniem ich ludzkiego sensu, bo na wszystko jest przyzwolenie z równoczesnym oprotestowaniem. Cały czas poeta szuka więc siebie oglądając swój byt od wewnątrz i od zewnątrz, ale również własnego domu, który został zredukowany przez okoliczności do zaspokajanie potrzeb typowo konsumpcyjnych, pozbawionych otoczki duchowej. To życie przesiąka „tymczasowość", a więc twierdzi poeta, że dla ludzi obecnie potrzebna jest jakaś „nowa ekologia", by adaptowali się do tych nowych stanów rzeczy w świecie. Skazani na wędrówkę po świecie musimy *ciągle od nowa / odnajdywać siebie*, choć jesteśmy zmęczeni sobą – konkluduje.

Poeta również analizuje nasz byt w perspektywie kosmogonicznej, ale równocześnie wspomina ideę „naszego wspaniałego (?) świata" i pyta: cóż więc po nas zostanie, by odpowiedzieć: (...) *by tyle po nas/ile w innych/nie ulega przedawnieniu*. Dzieje się dlatego, gdyż życie ze swej natury to zagęszczanie i rozrzedzanie czasu i przestrzeni, zaś zegar odmierza nasze stawanie się w tym świecie.

Nie ma wątpliwości, że tomik Ryszarda Wasilewskiego – to ciekawy, inspirujący zbiór poezji, która jest również obecnie bardzo aktualna i może dawać szansę konstruktywnego odnoszenia się czytelnika do tego świata wokół nas, miotanego ciśnieniem pandemii. Wydaje się również, że poetyckie narracje autora zawierają również pewne elementy twórczości ponowoczesnej, gdyż odnosi się wrażenie, ze mamy tu do czynienia z próbami gier znaczeniami słów, co niewątpliwie wzbogaca refleksję czytelniczą.

prof. Ignacy S. Fiut

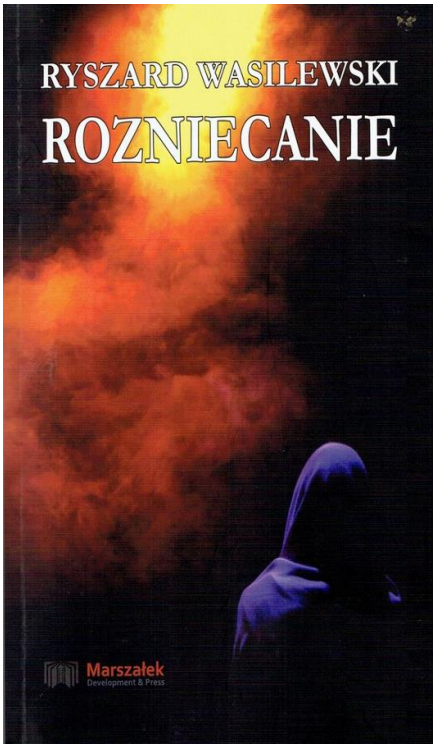

Ryszard Wasilewski, „Rozniecanie". Redaktor: Szymon Gumienik. Projekt okładki: Sławomir Łuczyński. Wydawca: Marszałek Development & Press, Toruń 2020, s. 88.

„Wierszariusz słowiański" Izabeli Zubko

Jako że sam też jestem poetą, piszę ten swój zbiór wrażeń zastrzegając sobie, że jest to mój odbiór osobisty i subiektywny. Poprzez wiersze tomiku próbuję wejść w „pole psychiczne" podmiotu lirycznego, i zdekodować grę ukrytych znaczeń.

W małym stopniu korzystam tutaj z teoretyczno- i historyczno-literackiego warsztatu filologa, którym także jestem. Wiem jednak, że Autorka nad każdym wierszem długo pracowała, wszystko w nich jest dokładnie i bardzo starannie przemyślane, wszystkie elementy wstawione na swoje właściwe miejsca. To zobowiązuje także mnie do dużej precyzji wypowiedzi na temat formy i treści tego tomiku.

Ale też muszę w porę się zatrzymać, aby nie podpowiadać zbyt wiele, aby wyręczać Szanownego Czytelnika w indywidualnej pracy jego umysłu, wyobraźni i intuicji .

Najpierw więc to, co mi się rzuca w oczy w pierwszej kolejności. Dostrzegam, że Izabela Zubko odważnie podejmuje zdałoby się nieco porzuconą i zapomnianą nić literackich poszukiwań w słowiańskości i „duszy słowiańskiej", która była popularna w okresie Młodej Polski i jeszcze w okresie międzywojennym. Wymieńmy tu mocno odstawione do lamusa nazwisko Tadeusza Micińskiego – i przede wszystkim wizyjną poezję Leśmiana... dorzućmy tu słowiańskie motywy w malarstwie Zofii Stryjeńskiej.

Te refleksje słowiańskie stają się tym ważniejsze, im bardziej kwestionowana i zagrożona jest nasza narodowa tożsamość, stojące w obliczu roztopienia się w całościach większych, ponadpaństwowych i ponadnarodowych. Jest to zarazem pewien rzut oka na nasze dziedzictwo. Jest bowiem faktem, że rzymskokatolicka europejska kultura przyszła do nas tysiąc lat temu z zewnątrz, w ostrej konfrontacji z nasza własną pogańską przeszłością, zaszczepiła nam elementy kulturowe wyrosłe na obcym gruncie, zmieniła nasze poczucie tożsamości. Stanowiła według określenia Oswalda Spenglera pseudomorfozę, rodzaj obcego przeszczepu. Pewne elementy słowiańskości zaczęliśmy odrzucać, innych się wstydzić jako „prymitywnych" i... o naszych słowiańskich korzeniach przypomniało nam dopiero pracowite i intensywne słowianoznawstwo XIX wieku. I do tej pory musimy te zapomniane korzenie rekonstruować z rozbitych okruchów, a także wiedzieć czego mamy bronić jako naszej niepodważalnej własności zbiorowej. Tak więc inicjatywa Autorki, jej poetycki powrót do słowiańskich źródeł, zasługuje na uznanie, ubogaca nasze spojrzenie na samych siebie.

(Dokończenie na stronie 18)

„Wierszariusz słowiański” Izabeli Zubko

(Dokończenie ze strony 17)

Sama nazwa tomiku zdaje się być w starym stylu, sugeruje coś z „myszką” i nawet pewne przymrużenie oka. Kojarzy się z dawno wyszłym z użycia słowem „diariusz”, oznaczającym dziennik, czyli jakby rodzaj osobistego pamiętnika o pozorach obiektywizmu. To stylizacja na coś starego, „uczonego”, solidnego i pedantycznego, ale... to tylko tak się wydaje.

Te miniatury poetyckie to na pierwszy rzut oka bardzo swobodne, nawet nieco rozwichrzone impresje... ale przy bliższym spojrzeniu widać, że są one jednak poddane dyscyplinie ładu i rygoru formalnego, to są starannie dopracowane „etiudy” z wyraźnym rytmem i melodyką, ich układ jest także przemyślany i znaczący, bynajmniej nie przypadkowy.

Ilustrator uchwycił pewien ukryty ton tych etiud poetyckich i dostroił do nich wyrazisty, ekspresyjny styl ilustracji, przywołujący na myśl *suibokuga* – japońską sztukę malowania wodnym tuszem i niosący odległe przywołania *kwaidan*, japońskie opowieści niesamowite, najbardziej w Polsce znane z wydanych zbiorów *Kwaidan* (L. Hearna) i *Ballada o Narayamie* (pod red. B. Yonekawa).

Te nawiązania zdają się tutaj trafne. Pewne wiersze Autorki (*Kania, Topielica, Utopiec*), przywołujące postaci z ludowej demonologii, ocierają się o horror, dotykają tragizmu ludzkiego losu, konfrontacji ze śmiercią, ale są też jakby „po japońsku „ przesycone tajemniczym urokliwym liryzmem, obejmującym rzeczy piękne i dobre, ale nie wykluczającym rzeczy groźnych, okropnych, budzących dreszcze.

Autorka korzysta z materiałów etnograficznych, ale się ich pedantycznie nie trzyma, nie stara się epatować „uczonością” erudytki, nie docieka też czystej słowiańskości przywoływanych wątków folkloru, bo też nie leży to w jej zamiarze twórczym.

Zasięg etnogeograficzny przywoływanych postaci folkloru jest szeroki, sięga z jednej strony pogranicza z folklorem osadnictwa niemieckiego (*Fajerman*), z drugiej północnej rubieży etnograficznej sięgającej dawnych Inflant Polskich, wzajemnego przenikania z folklorem niesłowiańskich ludów bałtyjskich (*Łojma*), występują też motywy kresowe z dawnego folkloru ukraińskiego (*Lysowyki*) – tutaj dorzućmy także zapomnianego, tajemniczego Chorsa z mitologii Słowian Wschodnich. Ożywia też Autorka szczątkowo zachowane relikty pogańskiej mitologii dawnych Słowian, które są znane już nie tyle z aktualnych wierzeń ludowych, co z kronik historycznych i pieczołowitych rekonstrukcji słowianoznawców (*Chors, Świętowit, Swarożyc, Weles, Rujewit*) – jej wysublimowane poetyckie refleksje są tutaj dość luźno związane z aktualnym akademickim stanem badań nad starosłowiańskimi wierzeniami. Można powiedzieć, że to jest jej osobista, intuicyjna wizja świata Słowian jako pewnej wyobrażonej duchowej całości.

Te wszystkie, czasami ledwie zarysowane postaci, a nawet niemal tylko ich imiona – stanowią system sygnałów wywoławczych, uruchamiających obfitą grę skojarzeń, kłębiących się w strumieniu wyobraźni obrazów i ich emocjonalnych zabarwień – chciałoby się to nazwać „techniką surrealistyczną”.

Podobnie, jak to czynił niegdyś Leśmian, Autorka przetwarza je przez pryzmat poetyckiej wyobraźni, nadaje im swoisty niepowtarzalny klimat i charakter osobistych wizji, inspiracyjnych „spotkań” z zagnieżdżonymi w jej *psyche* archetypami słowiańskiej wyobraźni i tożsamości, pewnej słowiańskiej wizji człowieczego losu i sił rządzących ludzkim życiem. Wyprowadza je, oraz towarzyszące im odczucia z głębokich pokładów podświadomości, ze skarbca mądrości odziedziczonej po zapomnianych słowiańskich przodkach.

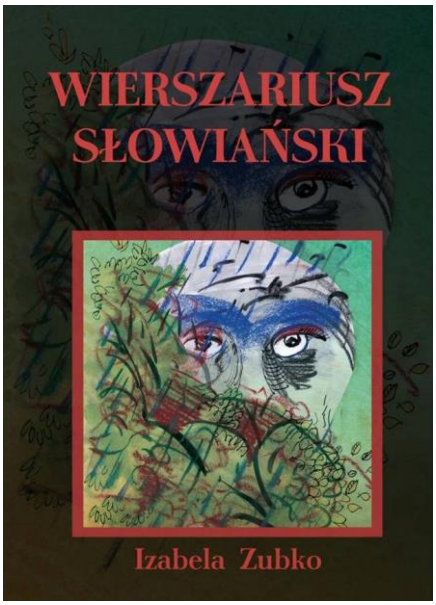

Przywodzi mi to na myśl odległe echa niegdyś modnych medytacji nad tajemniczymi postaciami Wielkich Arkanów tarota, w tym także ze strony psychologów-jungistów. Postaci „Wierszariusza” podobnie pełnią tu role kluczy do ludzkiego wnętrza, prowokują do samoanalizy i refleksji nad sobą, pobudzają, wydobywają na wierzch zawarte głęboko w duszy czynniki życia wewnętrznego i duchowego wzrostu.

Z tym, że tutaj obrazy mitologicznych postaci ludowego folkloru to nie skatalogowane, nie całkiem odkryte, nieoswojone „dzikie pola” – brak utrwalonych schematów, stereotypów i szablonów, co pozostawia wielką swobodę osobistej interpretacji. Jest to więc w istocie wędrówka głąb siebie, z niby-magicznym wykorzystaniem symboliki folkloru.

Na uwagę zasługuje przywołanie demonów losu (*Dola, Łojma, Isetki, Rodzanica*). Według wybitnego znawcy kultury ludowej Słowian Kazimierza Moszyńskiego charakterystyczną cechą dawnej religii Słowian (co zresztą pozostaje nadal w obecnym folklorze ludów słowiańskich) – jest fascynacja tajemniczymi siłami rządzącymi ludzkim losem.

W przypadku TOMIKU Izabeli Zubko chodzi o przeznaczenie i powołanie życiowe kobiety, wyznaczające jej kolejne etapy i role, odczuwane przez nią jako pewien specyficzny i nieporównywalny z niczym innym kobiecy tor życia, uwarunkowany przez sam fakt bycia kobietą. Prezentacja tych postaci prowadzona jest z punktu widzenia kobiety, różnych etapów, ról i stref jej życia.

Widać wyraźnie, że podmiot liryczny, objawiające się w wierszach kobiece „ja” tych wierszy traktuje te postaci jako swoje *alter ego*, ważne cząstki własnej duszy. Utożsamia się z nimi i zarazem prowadzi z nimi wewnętrzny dialog.

Występują tu między innymi kobiece demony przyrody dzikiej, nieoswojonej – *Bogunki, Brzegina, Dziwożona*, które odwołują się do głęboko schowanego w podziemiach duszy archetypu „dzikiej kobiety”, z jej pierwotną, naturalną i autentyczną, niezbyt bezpieczną ani społecznie akceptowaną spontanicznością... co się kojarzy z wizją „wiecznej dziewczyny”, bez obowiązków, jakie niesie później ze sobą życie kobiety. Jednym słowem: los nieukierunkowany, ciągła potencjalność i wiele możliwości jeszcze nie podlegających selekcji.

Mamy tu także duchowy byt, który można widzieć jako personifikację stanu uczuciowego, pragnień rozmytych i niedookreślonych, stanu odczuwanego w wyobraźni ludowej na sposób archaiczny, jako „nasłany” z zewnątrz *(Tęsknica).* Kobiece „ja”, rozpięte pomiędzy takimi skrajnościami, określa samą siebie przez konfrontację z nimi i pewne opozycyjne napięcie, a zarazem jest to poszerzenie własnej kobiecej tożsamości, jej wzbogacenie.

Ta kobieca strefa „ja” nie ogranicza się do jej własnej jednostkowości, lecz wykracza poza siebie, rozciąga się na domostwo, jego dobytek, obejście i ogród, pszczoły i zboże – ale przede wszystkim obecne w nim dzieci, które są przedmiotem troski i lęku. Jest tu więc także punkt widzenia kobiety jako gospodyni, strażniczki ogniska i oznaczanego przez nie ładu życia – ciągle oswajanej i „uczłowieczanej” strefy rzeczywistości, przeciwstawianej obszarom groźnego nieobliczalnego chaosu.

Pojawiają się opiekuńcze demony domu, ale i groźne duchy kradnące i zabijające dzieci (*Cicha, Kania*), a także i tajemnicze zjawy nawiedzające nocą, na pograniczu sennych rojeń – *Baj, Grzenia, Mrucek, Och.* W tym także inkub skrytych kobiecych snów, *Przyłożnik,* uosabiający pragnienia i marzenia o zjednoczeniu się z męską połówką człowieczeństwa, ale też widziane jako biegunowe przeciwieństwo, odrębność, i jednocześnie lekarstwo na samotność, dopełniającą pierwiastek kobiecy.

W tle tej wizji świata dostrzegamy pewien dualizm, swoistą słowiańską „księga przemian”, walkę i cykliczne następstwo elementów przeciwstawnych, światła i mroku, ognia

i wody opatrzonych różnoimiennymi znakami.

Zmaganie się dynamicznych, antagonistycznych sił przyrody, widzianych przez pryzmat oczekiwanych przez rolniczy lud, pożądanych stanów pogody (*Płanetnik* i *Żmij).* O ile *Płanetnik* przemawia do nas jako statyczny, spokojny pejzaż, przeniknięty jakąś tajemniczą duchowością przyrody, w której „ja" się roztapia i odpowiada wewnętrznym rezonansem – to *Żmij* wchodzi już w sferę relacji międzyludzkich, dialogu ze zmarłą przyjaciółką, której wiersz jest dedykowany.

Żmij, jeśli użyć terminologii prof. Marii Składankowej, to słowiański demon „górnego (niebiańskiego) szeregu symboli", chińska kategoria *jang.* To ognisty smok, unoszący się wysoko, właściwym jego miejscem jest burza i ogień piorunów, walczy z płanetnikami, z żywiołem chmur, wody i mroku – czyli z tym, co w folklorze ma także konotacje negatywne, kojarzy się bowiem ze śmiercią i chaosem.

I oto mamy przywołany bardzo oszczędnymi środkami poetyckimi dramatyczny obraz śmiertelnie chorej przyjaciółki jako „ognistego smoka", walczącej o życie w buncie... i coraz bardziej ze świadomością przegranej walki, bezpowrotnie odlatującej ze świata żywych. Jest tu pewien ton sprzeciwu, próba ocalenia sensu i ładu życia w obliczu przegranej, wobec śmierci widzianej jako groza i absurd. A zarazem próba wpisania tego tragicznego faktu w odwieczny porządek rzeczy.

Jak na górze, tak i na dole, chciałoby się to tutaj ująć hermetyczną maksymą. Makrokosmos wszechogarniającej natury w której jesteśmy zanurzeni jak małe drobinki – odpowiada tutaj mikrokosmosowi ludzkiego życia i wnętrza. Demon przyrody staje się uosobieniem pewnego aspektu duszy ludzkiej. Odwieczna gra sił kosmicznych natury przenosi się tu na płaszczyznę jednostkowego, niepowtarzalnego ludzkiego istnienia – staje się grą nadziei i zwątpienia toczoną wewnątrz duszy ludzkiej.

Tutaj symbolika mitologicznych postaci sięga wyżyn wielkiej syntezy ludzkiego losu, i ten właśnie wiersz jest ukoronowaniem tomiku, tym co nadaje mu znamię dojrzałości.

Ta prezentacja galerii mitologicznych postaci, ta rozmowa z nimi niesie w sobie jakiś klimat tajemniczego obrzędu szamańskiego coś takiego jak wywoływanie duchów w „Dziadach" Mickiewicza – z tym, że pojawiające się przed nami postaci bliższe są zjawom z dramatów Wyspiańskiego, miedzy innymi dlatego, że między nimi i Kobietą toczy się autentyczny żywy dialog. Jest to sytuacja parateatralna, jakby na scenie, w której centrum stoi „wywoływaczka", otaczana przez zjawy. Wrażenie to potęguje zestaw bardzo starannie dobranych ilustracji, z których każda koresponduje z wierszem jako jego plastyczne uzupełnienie – jakby układ zmieniających się kulis, które przenoszą nas to w miejsca bagienne, to do pasieki, to nad rzekę, to do nocnego wnętrza uśpionego domu...

Jest to zjawisko które określa się jako „korespondencję sztuk" – słowo i obraz ściśle ze sobą współgrają, przenikają się wzajemnie i dają w wyniku łączny, syntetyczny odbiór. Zarazem daje to wręcz filmowy efekt następujących po sobie migawek, iluzję przenoszenia się z miejsca na miejsce, a także w czasie... jako że poza aktualnym „teraz" wiersza pojawia się czasami plan dalszy na prawach wcześniejszych wspomnień.

I to również pozna uznać za kontynuację tradycji neoromantyzmu, zwłaszcza w tej tendencji mieszania świata fantastycznego z tym naszym codziennym, racjonalnym i przyziemnym aż do bólu, pozbawionym cudowności. No i rozsadzania zastanych schematów, podziałów i rygorów literackich.

I tym, być może, tomik Izabeli Zubko, wpisuje się w nadchodzące „przestawienie zwrotnicy" w biegu poetyckich nurtów– teraz bardziej w duchu „dionizyjskim" i romantycznym. I być może głos w tym nowym nurcie poezji będzie o wiele bardziej należał do kobiet, do kobiecego sposobu odczuwania. Ale to już wykracza poza zamierzone ramy tematyczne mojego tekstu.

Ale w tym miejscu muszę już Szanownego Czytelnika pozostawić sam na sam z wierszami Izabeli Zubko, z ta zachętą, aby starał się je odbierać wrażliwym sercem i intuicją własną. Moja rola jako przewodnika się tutaj kończy i życzę owocnej wędrówki przez wiersze, zawarte w nich drogowskazy i ścieżki – już na własną rękę i odpowiedzialność.

Mirosław Grudzień

Poezja z cienia zarazy

Wojciech Kajtoch stara się ze znanych faktów budować nowe narracje nt. kraju, świata, ale i własnego domu. Życie jawi mu się jako wielki ocean, po którym płynie i ciągle napotyka te same przeszkody, choć mają one odmienne konteksty. Powraca do wspomnień młodych lat, kiedy spacerował po Plantach, nawiązuje do wspomnień o nich Czesława Miłosza, by odkryć, że tylko dla jesień są one prawie zawsze takie same. Penetrując wspomnienia dziewczyny kiedy spotkanej zauważa, że nawet po latach będą one przywoływać owo pierwsze spotkanie.

Oczami dzieci ogląda historię małżeństwa ich rodziców, pojawiające się w nim przesilenia, które jednak ujawniają nowe siły tej miłości. Uczucie to dla poety jest wielowektorowe, bo scala, ale i oddala ludzi, nawet wtedy, gdy trwa jako żywot motyla. Podąża także tropem miłości, której doświadczała i którą opisywała tak wielostronnie Halina Poświatowska.

Poeta również wielkim uczuciem traktuje zwierzęta: głównie swojego kota, który jest dla niego najlepszym przyjacielem na dobre i złe czasy, ale uświadamia sobie, że odwrotna relacja z kotem jest w praktyce niemożliwa, bo on nawet ku śmierci podąża własnymi drogami. Potem zostajemy przeniesieni do Zakopanego, jemy obiad w Obrochtówce, spoglądamy z Krupówek na Giewont, by przypomnieć sobie historię o zabitym niedźwiedziu (heretyku czy świętym) oraz skandal jej towarzyszący. Poeta zauważa, że jego codzienny żywot nierzadko przypomina ów koci, kiedy zmęczony prawie drzemie, choć nie nakrywa się ogonem. Na myśl przychodzą również poecie doświadczenia jazdy pociągiem, kiedy w szpitalu pacjent obok pyta go, skąd ten pociąg jedzie, na co z tej perspektywy trudno odpowiedzieć. Inny pacjent zapytuje go o lot samolotem i na to pytanie autor nie ma również nic do powiedzenia, a jedynie napełnia go oburzenie na to szpitalne towarzystwo, które traktuje go jako źródło wszelkich możliwych informacji – jakby był aniołem wszechwiedzącym.

Tomik zamyka wiersz tytułowy – „Mierzeja (naśladownictwo)", a jego akcja umiejscowiona jest na Mierzei Wiślanej i Zalewie Wiślanym, gdzie kiedyś rycerze wywozili tu ludzi obłąkanych i gdzie istniała karczma obecnie odbudowana pod nazwą Nowa Karczma. Opisując swoje doświadczenia z wizyty na tym miejscu, w której historia i rzeczywistość inspirowała poetę, dowiadujemy się, że: (...) *Tu miesza się śmierć z życiem / plaża z sosnami / a ludzie żyją z wiatrami*. I ta końcowa pointa zdaje się dobrze oddawać twórcze inspiracje krakowskiego poety, który przygotował i wydał ten tomik spod cienia „wielkiej zarazy". Warto go poczytać i pooglądać, bo robi swoiste i niepowtarzalne wrażenie.

prof. Ignacy S. Fiut

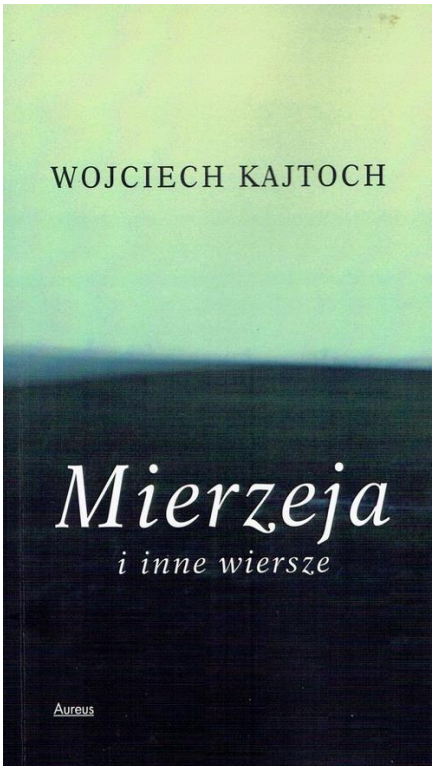

Wojciech Kajtoch, „Mierzeja i inne wiersze". Ilustracje: Piotr Prażuch. Fotografia: Łucja Lange. Wydawnictwo Aureus, Kraków 2020, s. 32.

Jana Stępnia mądre słowa w… „Ciszy”

Cisza to kolejny zbiór poetycki współczesnego pisarza **Jana Stępnia** (ur. w 1949), który dzieciństwo i młodość spędził w Kielcach (1953-81). Na pisarza wyrastał właściwie w środowisku kieleckim. W literaturze zadebiutował jako poeta w grudniu 1973 roku na łamach „Nowego Medyka”. Kolejne wiersze ukazały się w almanachach – *Bazar poetycki* (Kielce 1974) i *Bazar 2* (Kielce 1975). Natomiast jako prozaik dał się poznać czytelnikom w 1979 roku. „Sztandar Młodych” opublikował jego opowiadanie pt. *Nieznajomy*.

W swym dorobku literackim ma kilka tomików wierszy (*Wieczne koło, O drugiej nad ranem, Spowiedź kaktusa, Chory liść, Szaleństwa Marii, Łzy ślimaka*), zbiorów opowiadań (*Pierwsze doznania, Szalona Maria, Wyznania, Smak zdarzeń*), powieści (*Pajęczyna, Pulsowanie, Przenikanie, Czas miłości*), dramatów (*Koniec świata, Noc z Ulrike, Ból, Łaknienie, Róża, W windzie).* To twórca wszechstronny. Jest nie tylko poetą i prozaikiem, dramaturgiem i eseistą, ale także rysownikiem („ludziki”) i rzeźbiarzem.

Twórca o ciekawej osobowości, dążący do poszukiwania i odkrywania prawdy o człowieku. W swych utworach pyta bowiem o sens naszego trwania tu i teraz. Motywem jego twórczości jest człowieczeństwo, zaś jej naczelnym tematem uczucie. W dużym stopniu jest to twórczość metafizyczna. Na pewno autor bardziej wierzy w przeznaczenie niż w przypadek (czasami twierdzi jednak, że nie ma przypadków!), w ciała astralne i w reinkarnację. Interesuje się parapsychologią i „światami równoległymi”. Będąc blisko jakiejś tajemnej energii, interesuje się też radiestezją i bioenergoterapią. Przedkłada duchowość nad rzeczy materialne. Jest człowiekiem natury, kocha przyrodę, która go oczyszcza, dodaje sił do twórczego działania, zwiększa jego witalność i poprawia samopoczucie... Poprzez świat przyrody dostrzega pełniej człowieka we współczesności.

Od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku na dobre zadomowił się na „wsi sielskiej, anielskiej” Strzelce w pobliżu Nałęczowa na Lubelszczyźnie (lata 80. w Warszawie), gdzie mieszka w starej, wyremontowanej chacie z żoną Marią Szyszkowską – profesorem filozofii, autorką wielu prac z dziedziny filozofii, setek artykułów naukowych, esejów, recenzji, polemik w wielu pismach.

Jego wiersze i prozę tłumaczono na arabski, niemiecki i esperanto. Rysunki oraz rzeźby wystawiał w wielu miastach Polski, a ponadto w Belgii i na Węgrzech. Jest członkiem Warszawskiego Oddziału Związku Literatów Polskich i Polskiego Oddziału Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEC) z siedzibą w Wenecji.

Obszerny szkic o twórczości Jana Stępnia autorstwa Iwony Gralak został zamieszczony w tomie 10/2002 *Pisarze regionu świętokrzyskiego*. Zdzisław Łączkowski poświęcił mu esej *Osamotniony pośród osamotnionych* w książce *Zamyślenia* (Warszawa 2005), w której zostały zebrane myśli pisarza i jego żony prof. zw. dr hab. Marii Szyszkowskiej. Rozmowę z pisarzem, zatytułowaną *Boli mnie przemijanie*..., Andrzej Dębkowski zamieścił w swej książce *Kiedy umiera poeta, umiera świat* (Zelów 2004).

Tomik *Cisza* składa się z dwóch części, z których pierwsza zawiera czterdzieści jeden wierszy, a druga cztery eseje: *Wyobraźnia, Osamotnienie a twórczość, Uczucia negatywne w kulturze mediów, Zwierzęta.* Nieczęsto się zdarza łączenie dwóch różnych form wypowiedzi w jednej publikacji, choć skądinąd eseje te zawierają treści do głębszego przemyślenia.

Cisza stała się dla poety sygnałem alarmowym do przekazania czytelnikom wielu myśli za pomocą „umęczonego słowa”, gdyż *od lat zabijamy ją / w sobie / bez wahania / Jeszcze niedawno / tuliła się do nas / Dzisiaj ukryta / w popękanych szczelinach czasu / boi się ludzkich / słów i czynów / Bez niej nie można / żyć prawdziwie. / Cisza jest* – zdaniem autora – *jak egzotyczny ptak / Łatwo ją spłoszyć / Więc mów do mnie / ściszonym szeptem / albo wymownym milczeniem / Tylko w ciszy / ukryta jest / odwieczna prawda.*

Poeta, który jest blisko natury, w ciszy upatruje możliwości do osiągnięcia wewnętrznej harmonii, spokoju i do oswojenia się z upływem czasu i wieczną przemiennością. Jakże wymowne są słowa*: Jesień chłodem / pisze wiersz o przemijaniu / Nawet babie lato / niezbyt chętnie / swoje nitki tkało /* lub */ Czy kiedyś / znajdzie się taki śmiałek / który nie bacząc / na swoje Życie / zada śmiertelny cios / odwiecznej niszczycielce / naszych marzeń.*

A wszystkiemu winien jest czas. *Doskonały złodziej / naszych marzeń*, którego nie można uwięzić. Czas się odwiecznie spieszy (a może nie, bo ma czas?) i nigdy nie wraca w tej samej postaci.

Poezja, a w szczególności literatura, może być płaszczyzną porozumienia się między ludźmi, także autorów tej formy wypowiedzi artystycznej z samym sobą. Daje możliwość zastanowienia się nad życiem i sensem istnienia. Wiersz jest pamiętnikiem lirycznym, wypowiedzią bardzo osobistą. Autor wyraża swoje myśli, odczucia, spostrzeżenia, wrażenia na różne tematy. Próbuje uchwycić nawet najdrobniejsze drgnienia ludzkiego serca. Ocalić jakąś część teraźniejszości. W tomiku jest wiele wierszy krążących wokół naszego bytowania, dotykających spraw fundamentalnych.

Istotną dla poety wartością jest miłość, zarówno do człowieka w ogóle i do świata, ale także do Natury. Bez miłości (...) *wszystko staje się popiołem.* Stwierdza też, że *Łatwo mówić o miłości / Trudno kochać gdy / w nas coraz więcej złości.* I konstatuje, że *Gdy brakuje jej ciepła / szybciutko odchodzi*.

Podmiot liryczny z wielką czułością odnosi się do świata przyrody: *Ostatni liść / przerażony samotnością / sfrunął z sędziwej brzozy / Skrył się w jesiennej trawie / Chciałby przetrwać do następnej wiosny.*

Dla poety wiatr jest przyjacielem, a polny wiatr, bratem, podobnie wiernym przyjacielem jest ogień, który *Kiedyś spali / chore ciało / Kupkę popiołu / odda litościwemu wiatrowi / a on rozwieje prochy / na cztery strony świata.*

Jan Stępień jest poetą-myślicielem. I wcale nie mam na myśli, że brak w jego poezji górnolotnych skojarzeń, wymyślnych metafor, epitetów (wydaje się, że ulubionym środkiem poety jest animizacja i personifikacja świata przyrody). Właśnie w prostocie wiersza, w szczerości słowa tkwi siła jego wypowiedzi. Prawie każdy wiersz niesie jakieś przesłanie i zmusza do refleksji. Bo na przykład, mimo że zdaje sobie sprawę z wartości słowa jako nośnika myśli, w jednym z wierszy pisze: *Nie mów do mnie słowem / Mów czułym spojrzeniem / Wtedy ujrzę twoje myśli / Odczuję smak pragnień / Nie mów słowem / To wytarty klucz / do misternie otwieranych kłamstw.*

To wiersze niemal lapidarne, ascetyczne, nie ma w nich typowego, przynależnego poezji, liryzmu, ckliwego sentymentalizmu. Składają się zaledwie z kilku krótkich wersów. Ich autor jest znany z oszczędności słowa. Uważany jest za mistrza krótkich form narracyjnych.

Rysunki w tekście dopełniają treść utworów. Charakterystyczna kreska pisarza jest rozpoznawalna. Chociaż rysunki („ludziki”) są do siebie podobne w formie, to jednak trzeba im się uważnie przyjrzeć, pobudzić wyobraźnię, zagłębić się w psychikę człowieka i w świat przyrody

Warto sięgnąć po zbiorek *Cisza* i w ciszy wczytać się w mądre słowa poety.

Tadeusz Stolarski

Jan Stępień, „Cisza”. Opracowanie redakcyjne: Andrzej Ziemski. Rysunki, projekt okładki: Jan Stępień. Wydawnictwo „Kto jest Kim”, Warszawa 2020, s. 74.

Filozofia codzienności

prof. Marii Szyszkowskiej (174)

Fot. Andrzej Dębkowski

Drogowskazem dla wyborów życiowych niejednego czytelnika mogą się stać bohaterowie literaccy tego pisarza, którzy sens odnajdują w działaniach na rzecz innych, nieznanych sobie ludzi. Powieści Scotta Fitzgeralda przenika zaraźliwa radość istnienia i umiejętność zatopienia się w chwili która jest i przemija.

Potęga woli Branda, bohatera dramatu Ibsena pod tym tytułem, fascynuje bezwzględnością dla własnych słabości i pogardą dla kompromisów. „Wszystko albo nic". Zdaniem tego norweskiego pisarza silna wola przede wszystkim kształtuje człowieka. W dramacie tym pojawia się jak refren: „Woli trzeba zbawicielki, w rzeczy małej, w rzeczy wielkiej". Z kolei w powieściach Romain Rollanda, zwłaszcza w „Janie Krzysztofie", zawarta jest wiedza o niebezpieczeństwie zadawania zbyt często pytań: po co? Dostrzegając możliwe za i przeciw oraz poddając wszystko w wątpliwość można doprowadzić się do stanu apatii. Jej krańcowym wyrazem jest obłomowszczyzna, czyli postawa życiowa bohatera słynnej powieści „Oblomow" rosyjskiego pisarza Iwana Gonczarowa.

Sens autorytetów urzędowych został wprawdzie podważony w epoce renesansu, ale temu, kto nie poddaje się obowiązującym modom, potrzebne są wzory, kierunkowskazy pełniące tę rolę. Bywa, że pełnią ją bohaterowie powieści, czy dzienników. Don Kichot to wzór człowieka wiernego wyznawanym przez siebie ideałom. Przykład Don Kichota powołują także wybitni psychiatrzy, upatrując w tej postawie wyraz zdrowej, nie zmaterializowanej psychiki.

Wielcy pisarze wyrażają w tym, co tworzą swój pogląd na świat. Stają się swoistym pomostem bez którego filozofia byłaby dostępna tylko dla grona wtajemniczonych.

Człowiek pierwotny zmagał się z siłami przyrody żyjąc z nią w symbiozie. Rozwój cywilizacji doprowadził do oddalenia się od natury. Ten proces narasta. Pogrążaniu się w świecie internetu i telewizji towarzyszy bierność, niechęć do podejmowania czynu. Do działań skłania natomiast agresja wywołana poczuciem, że ktoś zagraża, w drodze do zaspokojenia własnych interesów. Powoli zanika potrzeba wspólnoty. Nie wszyscy rozumieją znaczenie spotkań z ludźmi, a wyzwalają one nasze możliwości i wzmagają siły witalne człowieka. W okresie międzywojennym miejscem inspiracji twórczych dla pisarzy, artystów, warstwy inteligencji były kawiarnie literackie, których już nie ma.

Dziś wkraczamy na drogę rywalizacji i konkurencji, by w ten sposób osiągnąć własne cele. Zanika poczucie, że każdy z nas stanowi cząstkę Kosmosu i Ludzkości.

Przekonanie o potędze człowieka i sile panowania nad przyrodą, której nie powołaliśmy do życia, staje się groźne. Trudno zrozumieć niefrasobliwość i egoizm tych, którzy niszczą świat zwierząt i roślin.

Zmagają się współcześnie z żywiołami – sprawdzając siłę swojego charakteru – zdobywcy gór, bądź podróżnicy w czasie wypraw przez oceany, pustynie, czy śniegi. Czytano dawniej powieści Londona, a także Centkiewicza opisujące próby charakteru osób walczących o przetrwanie i zmagających się z potęgą sił przyrody. Również Conrad ukazał w swoich dziełach literackich relacje miedzy potęgą morza i siłami człowieka.

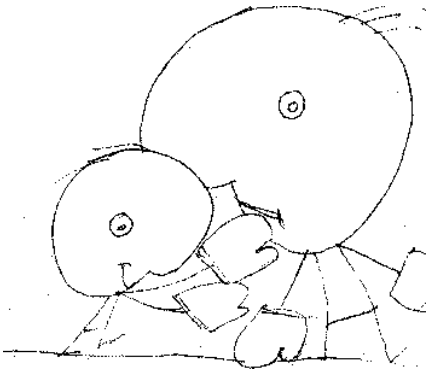

Rys. Jan Stępień

Większość z nas chcąc zniwelować kontakt z naturalnym środowiskiem, kupuje plastikowe okna, lakieruje drewnianą podłogę, korzysta z klimatyzacji, z kuchenek mikrofalowych. Wizja kogoś rąbiącego drewno, palącego w piecach, uszczelniającego okna watą, wydaje się śmieszna i niemodna.

Funkcjonuje fałszywy pogląd o rzekomej wyższości człowieka. W związku z tym narasta sytuacja w której niezbędny staje się ruch obrony przyrody przed człowiekiem – istotą śmiecącą. Mądrość Dalekiego Wschodu sprawia, że nie występuje tam niebezpieczna opozycja człowieka wobec świata przyrody. Siły żywiołów wykorzystuje się na przykład w lecznictwie.

W europejskiej kulturze funkcjonuje pogląd, że człowiek jest doskonalszy od zwierząt. W związku z tym ma prawo nie tylko je zabijać w nierównej walce, ale także stosować przemoc w sposobie hodowli. Na cierpienia zwierząt Europejczycy w swej większości są odporni. Traktuje się je jako przedmioty a nie jak żywe istoty.

Zwierzęta mają w bardziej doskonały sposób zbudowane zmysły niż człowiek. Nietoperze słyszą ultradźwięki, kotom niepotrzebne jest światło, by widzieć, nie dorównujemy węchowi psów, by poprzestać na tych przykładach. Lojalności oraz wdzięczności powinniśmy się uczyć nie tylko od psów. Jednakże począwszy od La Fonataina oraz Ignacego Krasickiego – rozmaite bajki informują nas, że poszczególne zwierzęta są rzekomo ucieleśnieniem wad człowieka; chytry jak lis, łże jak pies, pijany jak świnia.

Okrucieństwo człowieka bywa tak wielkie, że przedstawiciele liberalizmu XIX wieku, a zwłaszcza John Stuart Mili podkreślali, że państwo ma obowiązek brać w opiekę zwierzęta, jeżeli są sadystycznie traktowane. Brakuje empatii w kontaktach człowiek – człowiek. Brakuje empatii w naszym stosunku do zwierząt. Wzorem powinna być postawa Mahometa, który mając szacunek dla śpiącego kota na połach jego szaty – odciął ją, gdy musiał wstać.

Rozmaite są uzasadnienia dla których ktoś nie jada mięsa. Częste bywają uzasadnienia natury religijnej. Jak wiadomo, część małych liczebnie wyznań chrześcijańskich, a także niektóre wyznania niechrześcijańskie zalecają wegetarianizm. Tradycja jedzenia mięsa w Europie jest mocno zakorzeniona. A warto zastanowić się nad tym, że wielkie zwierzęta jak słoń, żyrafa, czy hipopotam nie czują głodu nie jedząc mięsa. Odrzucenie jadania mięsa bywa wyrazem albo tradycji w której się ktoś wychował, albo wyrazem przemian światopoglądowych. Funkcjonują dwa przeciwstawne poglądy. W myśl jednego z nich człowiek jest istotą mięsożerną. W myśl drugiego – roślinożerną. Nawyk jadania mięsa szerzy się z powodu tradycji, a także licznych tanich restauracji karmiących modnymi hamburgerami i kurczakami. Sytuacja mniejszości, którą tworzą wegetarianie w Polsce jest kłopotliwa, bo trudno uzyskać zgodę na jedzenie wegetariańskie w przedszkolach, w szpitalach, więzieniach i w czasie wielu konferencji.

Skutki cywilizacji

Rozkwit cywilizacji wywołuje zachwyt z racji ujawniania nieznanych wcześniej możliwości człowieka. Wywołuje także zachwyt, bowiem wynalazki cywilizacyjne czynią życie bardziej wygodnym. Nie zastanawiamy się nad tym, że wygoda wzmaga bierność, a potrzebne są czyny zmieniające świat na miarę tęsknot człowieka. Niestety finansowane są przede wszystkim prace na rzecz wynalezienia nowej doskonalszej broni.

Obserwowanemu rozkwitowi cywilizacji nie towarzyszy rozwój kultury duchowej. W procesach edukacji zarówno tej zinstytucjonalizowanej, jak i całożyciowej nie zauważa się pomocy w rozwoju uczuć, wrażliwości i wyobraźni. Sytuacja ulegnie dalszemu pogorszeniu w związku ze wzmagającym się procesem tworzenia mega-miast, a wiec miast zamieszkiwanych przez kilkadziesiąt milionów osób.

cdn.

Maria Szyszkowska

Moja walka z rakiem

(19)

15 lipca 2019

Muszę zrobić badania krwi przed rezonansem. Siadam jak zwykle przed pokojem dr S., by mnie przed wejściem zauważyła. Ma przyjmować od 8.00. Na krzesłach siedzi tłum ludzi. Widzę, że rejestratorka niesie na naręczu kartoteki. Idę za nią do gabinetu. Słyszę: nie wchodzić! Wycofuję się speszony i przepraszam. Za chwilę wychodzi pani doktor i zaprasza mnie, tłumacząc wszystkim, że mam pierwszeństwo, bo jestem inwalidą pierwszej grupy, a tak naprawdę - niepełnosprawności. – A ma pan tu swoją kartotekę? – Nie! – odpowiadam. – Pani doktor była tak zmęczona, że nie chciała ze mną rozmawiać. – Coś mi tam jeszcze tłumaczy i daje mi na karteczce swój podpis i pieczątkę i każe iść po kartotekę. Rejestratorka załatwia pacjenta, więc podaję karteczkę i mówię, że chodzi o podobną sprawę. Pyta o moje dane, a potem niesie sama kartotekę na górę. Siadam na krześle i czekam. Za chwilę wychodzi z gabinetu dr S. i daje mi skierowanie na badanie do analityki. Słowem na dziś jestem już załatwiony. Staję w długiej kolejce po drugiej stronie korytarza przed laboratorium. Gdy już swoje odczekałem, załatwiłem, wracam do domu, a potem idę po zakupy. Na rynku przy jakimś straganie spotykam dr. K. Mówię: dzień dobry, panie doktorze! – Spogląda na mnie, kto zacz i odpowiada grzecznie: dzień dobry! Na tym się kończy nasza rozmowa. Doktor przecież niedawno mnie operował. No cóż, widać nie pamięta.

Wiśnie znów kupiłem kwaśne, choć szukałem dobrych i słodkich. Wybieram się do biblioteki, by przejrzeć dzisiejszą prasę. Tak schodzi mi do 13.00. Już jestem śpiący. Podczas obiadu – zupa szczawiowa z ryżem i jajkiem - oglądam zwyczajowo telewizję, jakiś film przyrodniczy, bo polityka przestaje mnie interesować. W Internecie zaglądam jeszcze na moją skrzynkę pocztową, portal stalowemiasto i bieżące wiadomości oraz notowania akcji na giełdzie. I kładę się spać, a potem wracam ponownie do biblioteki. Przed 17.00 biorę ze sobą „Wprost", „Odrę" i „Echo" i idę do domu, by znów kontynuować lekturę. Numer 6. „Odry" poświęcony jest wspominkom i reasumpcji tego, co w Polsce się działo w minionym trzydziestoleciu. Autorzy, m.in. Marek Orzechowski, Mariusz Urbanek, Jerzy Surdykowski, Piotr Gajdziński, jakkolwiek piszą krytycznie o wszystkim, to jednak bilans zmian, jaki prezentują w swoich tekstach, jest dla nas wielce korzystny.

16 lipca 2019

Poranne zajęcia jak zwykle te same. Poszedłem do analityki odebrać wyniki badań z wczorajszego dnia. Będą mi potrzebne do rezonansu w czwartek. Lekarstwa, które miałem zalecone przez onkologa, już skończyłem. Dziś wziąłem tylko te stare: glukofaż i apo-simvę. Poczytałem też trochę „Twórczość". Co tu mówić, literatura to mój chleb i profesja, choć już tylko emerytowanego polonisty. Przeczytałem m.in. w czerwcowym numerze wywiad z przyjacielem Stanisława Czycza, Jackiem Dybkiem, zresztą absolwentem ASP i muzykiem amatorem, też mieszkańcem Krzeszowic o ich młodości spędzonej w tym podkrakowskim mieście. Smutne to wszystko, podobnie jak los młodego pisarza, który w końcu dostał jakieś skromne mieszkanie na Krupniczej. Ale by jeździć do Krakowa, musiał czasami podrabiać bilety na PKP. Jeśli miałbym mieć taką sławę jak Czycz dzisiaj i podobny los jak on, to lepiej, że zostałem tylko nauczycielem polonistą. Bo z tego mogłem się przynajmniej utrzymać. No i dyplom UJ do czegoś się przydał. A tak do czego? Dobrze czasami jeszcze raz przemyśleć swoje niespełnione ambicje i nie żałować sławy nikomu. Wtedy się ceni to, co się osiągnęło. Książki Czycza mam przecież w swoje bibliotece, tylko w Tarnowie, ale przecież nie jestem nimi zachwycony. Przeczytałem raczej z obowiązku niż z zachwytu. Lepiej czytać o literatach niż ich naśladować.

17 lipca 2019

Wszystkie poranne obowiązki zaczynam jak zawsze. Potem drobne ćwiczenia językowe i po śniadaniu oraz zakupach huzia do biblioteki, by przejrzeć prasę. Zaczynam od „Echa", „Rzepy", by potem przejść do tygodników: „Tygodnika Powszechnego" i „Polityki". Czytam dość szybko i pobieżnie. Około 12 zaczyna mnie męczyć sen. Zaliczam jeszcze na górze, w czytelni na KUL-u, ale też tylko pobieżnie Parkiet z giełdą. W końcu te trochę akcji, które jeszcze posiadam, zmuszają mnie do tego. Już dawno wycofałem się z jakichś większych zakupów, bo wiem, czym to pachnie, ale z przeglądania wiadomości – nie. W domu obiad, zupa szczawiowa z ryżem. Przy posiłkach zerkam na TVN 24 albo szukam czegoś na Historii. Chętnie oglądam także programy przyrodnicze. Polityka szybko mnie nudzi. No i poobiednia drzemka do 15.00. Zaczynam budzenie się od spojrzenia na giełdę w Bankierze. Spadki, ale nie zbyt wysokie. Robię sobie herbatę i czytam w „Twórczości" reportaż literacki Franaszka z Neapolu. Więcej w nim jednak poezji niż prawdy. No i te popisy językowe, co jakiś czas wtrącenia z języka włoskiego, czyniącego tekst niekiedy mało czytelnym. I znów wracam do czytelni MBP, by dokończyć lekturę. Niestety, nie do końca mi się to udaje. Dlatego zabieram prasę do domu. Może coś jeszcze uda mi się przeczytać? Ale chcę także trochę pospacerować po mieście. Będzie trudno.

18 lipca 2019

Od rana szykuję się na rezonans. Z domu na przystanek busa wychodzę o 9.45. W Rzeszowie będę, o ile mi nic nie stanie na przeszkodzie, o 11.30. Próbuję się zdrzemnąć, ale nic mi to nie wychodzi, choć z domu wyszedłem śpiący. Między Kamieniem a Sokołowem wsiadają dwie nastolatki. Pytam, czy są uczennicami czy studentkami. Jedna z nich, która do mnie się przysiada, mówi, że chodzą jeszcze do szkoły podstawowej, do ostatniej klasy. I dopiero na przyszły rok pójdą do szkoły średniej. A teraz wybrały się do Rzeszowa na wycieczkę. – Chcecie sobie pochodzić po Rzeszowie? – pytam. – Tak! – odpowiada ta, która siedzi obok mnie. Uśmiechnąłem się. Przypomniałem swoje eskapady i wagary.

Podczas podróży rozmyślam o religii. Dlaczego jest potrzebna ludziom? Mimo wielu wątpliwości, krytycznego spojrzenia na niektóre wypowiedzi kleru, budowania w Polsce sojuszu tronu i ołtarza, wiem przecież dobrze, że religia jest człowiekowi potrzebna jak chleb powszedni. Nie myślę tu o uczonych, profesorach czy intelektualistach, którzy kierują się własną filozofią i zasadami etycznymi, ale przede wszystkim o szarym człowieku, evrymenie, który opiera się przede wszystkim na tradycji i korzysta z tego, co się dowie na lekcjach religii w szkole. Zupełnie jednak nie rozumiem wojujących ateistów, którzy sami doszli do takiej hipotezy, że Boga nie ma, a religia to „opium dla ludu". I koniecznie chcą ludzi pozbawić złudzeń i wiary, wmawiając, że Boga nie ma. Bo co innego kierować się w życiu swoimi racjami, czy żyć bez religii, a co innego odbierać wiarę innym, nie biorąc pod uwagę natury człowieka, jego osadzenia w tradycji i kulturze. Religia wiąże się przede wszystkim z wielowiekową tradycją, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Z niej wyrastają też ludzkie obyczaje, które są naszą drugą naturą, a także – i to może najważniejsze – zasady moralne. Zwykły człowiek znajduje w religii odpowiedź na podstawowe pytania dotyczące spraw ostatecznych, a także tych, które są mu potrzebne podczas pobytu na ziemi. One kształtują jego życie i moralność. Religia jest też formą więzi społecznej, czymś co scala i cementuje każde społeczeństwo, a także naród. Religia zapewnia też człowiekowi trwały fundament, na którym może oprzeć swoje krótkotrwałe życie, a także wyjaśnić skąd się bierze zło i dobro. Dlatego tak ważna jest dla ludzi. W tym zwariowanym świecie mogą się odnosić do pewnych trwałych i uniwersalnych wartości, a nie tylko polegać na tym, co przyniesie dzień. Religia bywa terapią, ale nie opium, jak pisał Marks.

Rezonans zniosłem dobrze. Czasami tylko otworzyłem oczy, by zerknąć na tunel, w którym przebywałem.

19 lipca 2019

Dziś znów się przewróciłem, podobnie jak w Łęczycy 2 tygodnie temu. Potknąłem się o wystającą kostkę brukową. I upadłem na twarz i na beton. Kości co prawda żadnej nie złamałem, przynajmniej tak mi się wydaje, ale jestem mocno poobijany. Największe obrażenia odniosłem na nosie, który jest lekko opuchnięty i ma zdarty naskórek, przez to czerwony jak u pijaka. Upadek czuję jeszcze na kolanach i z prawej strony na klatce piersiowej. Okulary mam plastykowe, więc nic się na szczęście nie stało.

Mirosław Osowski

POEZJA

Krzysztof Bencal, *Elegia na własną śmierć.* Projekt okładki: Grażyna Wasilewska, Dariusz Wasilewski. Grafika wykorzystana na okładce wirestock / Freepik. Wydawnictwo Pisarze.pl, Warszawa 2020, s. 116.

Anna Blasiak, Lisa Kalloo, *Kawiarnia przy St. James's Wrena w porze lunchu / Cafe by Wrens St. James-in-the-Fields, Lunchtime.* Przełożyły: Marta Dziurosz, Maria Jastrzębska, Danusia Stok, Elżbieta Wójcik-Leese. Projekt okładki: Lisa Kalloo. K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Miejska Biblioteka Publiczna im. Księcia Ludwika I, Brzeg 2020, s. 136.

Jacek Dudek, *Imiona tkanek.* Projekt okładki i ilustracje: Daria K. Kompf. Zdjęcie autora: Arek Łuszczyk. Fundacja Duży Format, Warszawa 2020, s. 46.

Robert Gawłowski, *Dotknięcie.* Fotografia na i stronie okładki: Maisa Borges z Pexels. Portret, Dominika Gawłowska. *Biblioteka Poezji /Biblioteka „Toposu",* tom 183. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu", Sopot 2020, s. 55.

Jerzy Hajduga, *Uważaj na siebie.* Fotografia na okładce: Maria Kuczara. *Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu",* tom 182. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu", Sopot 2020, s. 48.

Ludwik Janion, *A jednak.* Projekt graficzny: Jan Rosiek. Fundacja Terytoria Książki wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2020, s. 68.

Paol Keineg, *Powrót do Bretanii.* Wybór i przekład Kazimierz Brakoniecki. Zdjęcie autora Camille Mandredi. Grafika na okładce i w książce: Piotr Pasiewicz. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *Szesnaście i pół.* Wydawnictwo FORMA, Szczecin, Bezrzecze 2020, s. 74.

PROZA

Andrzej Balio, *Madę in Roland.* Zdjęcie na okładce Jan Kościańczuk. Zdjęcie autora:L Luiza Greta Balio. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Kwadrat.* Wydawnictwo FORMA, Szczecin, Bezrzecze 2020, s. 120.

Charles Bukowski, *O piciu.* Opracowanie: Abel Debritto. Projekt okładki: Tomasz Lec. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2020, s. 272.

Olgerd Dziechciarz, *Zapolski.* Zdjęcie na okładce: Adam Sowula. Fundacja Kultury AFRONT, Bukowno 2020, s. 140.

Jarosław Jakubowski, *Wojna.* Zdjęcie autora Filip Kowalikowski. Obraz na okładce: Katarzyna Tchórz, *Moon forestfever,* 2016. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Kwadrat.* Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy, Szczecin, Bezrzecze 2020, s. 382.

Miljenko Jergović, *Sarajewskie Marlboro.* Przełożyli: Magdalena Petryńska oraz Miłosz Waligórski i Maciej Czerwiński. Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie graficzne: Janusz Fajto. Wydawnictwo Akademickie SEDNO, Warszawa 2020, s. 128.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Anna Arno, *Kot. Opowieść o Konstantym A. Jeleńskim.* Opracowanie graficzne: Andrzej Barecki. Zdjęcie na obwolucie: Bohdan Paczkowski / FOTONOYA. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2020, s. 416.

Michael Baigent, **Richard Leigh**, *Inkwizycja. Prawdziwa historia walki z herezją i czarami od XIII wieku do czasów współczesnych*. Projekt graficzny okładki: Małgorzata Cebo-Foniok. Korekta: Alicja Jedynak. Wydawnictwo AMBER sp. z o.o., Warszawa 2019, s. 352.

Artur Domosławski, *Wygnaniec. 21 scen z życia Zygmunta Baumana*. Projekt okładki: Karolina Żelazińska. Zdjęcie Autora: Rafał Masław. Zdjęcia na wyklejkach: z archiwum rodzinnego Aleksandry Jasińskiej-Kani. Konsultacja naukowa: prof. dr hab. Marcin Kula, prof. dr hab. Wojciech J. Burszta. Redaktor prowadząca: Monika Koch. Redakcja: Krystyna Podhajska. Korekta: Małgorzata Domosławska, Jan Jaroszuk. Indeks: Waldemar Chamala. Wydawca: Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2021, s. 908.

Stanisław Gębala, *Niezapisane rozmowy. Wspomnienia, szkice i korespondencja z Tadeuszem Różewiczem z lat* 1978-2013. Zdjęcia z archiwum autora. Opracowanie graficzne: Piotr Wisła. Bielsko-Biała 2020, s. 262.

Maria Iwaszkiewicz, *Portrety.* Nagrała, opracowała i przygotowała do druku: Agnieszka Papieska. Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne: Wojciech Stukonis. Wydawnictwo Akademickie SEDNO, Warszawa 2020, s. 308.

Agata Janiak, *Ten, który widzi. O twórczości literackiej Józefa Czapskiego.* Projekt książki i okładki: Marcin Bruchnalski. Na okładce grafika Aurelii Milach. *Biblioteka Krytyki Literackiej) Kwartalnika „Nowy Napis".* Instytut Literatury, Kraków 2020, s. 136.

Andrzej Kijowski, *Dzieje literatury pozbawionej sankcji vol. 1.* Wybór i opracowanie: Andrzej Tadeusz Kijowski. Omówienie: Marta Kwaśnicka. Projekt książki i okładki: Marcin Bruchnalski. Na okładce grafika Aurelii Milach. *Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis".* Instytut Literatury, Kraków 2020, s. 328.

Andrzej Kijowski, *Dzieje literatury pozbawionej sankcji vol. 2.* Wybór i opracowanie: Andrzej Tadeusz Kijowski. Omówienie: Marta Kwaśnicka. Projekt książki i okładki: Marcin Bruchnalski. Na okładce grafika Aurelii Milach. *Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis".* Instytut Literatury, Kraków 2020, s. 328.

Sławomir Koper, **Tomasz Stańczak**, *Ostatnie lata polskich kresów*. Redakcja, korekta i indeks: Katarzyna Litwińczuk. Dyrektor wydawniczy: Maciej Marchewicz. Projekt okładki, stron tytułowych i układ graficzny książki: Fahrenheit 451. Fotoedycja, obróbka zdjęć: TEKST Projekt. Zdjęcia w książce: Archiwa autorów, Narodowe Archiwum Cyfrowe, Biblioteka Narodowa, Wikipedia, Jagiellońska Biblioteka Cyfrowa, Podlaska Biblioteka Cyfrowa, Archiwum Uniwersytetu Warszawskiego, Wydawnictwo FRONDA, Warszawa 2020, s. 560.

Jakub Kornhauser, *Preteksty, posłowia. Małe kanony literatury światowej.* Projekt okładki i stron tytułowych: Sepielak. Na okładce: *Dziewczynka,* Ruda Śląska 1977, fot. Joanna Helander. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2019, s. 260.

Peter Kral, *Pojęcia podstawowe.* Wybrał i przełożył: Zbigniew Machej. Ilustracje: Jiři Stach. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2020, s. 128.

Agnieszka Kramkowska-Dąbrowska, *Krasiński. Świadectwo.* Projekt okładki i layoutu: Katarzyna Turkowska. Seria *Projekt: Egzystencja i Literatura.* Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2020, s. 318.

Frances Gies, *Życie średniowiecznego rycerza*. Przekład: Grzegorz Siwek. Projekt okładki: Oksana Shmygol. Ilustracja na okładce pochodzi z Codedxu Manesse. Opieka redakcyjna: Natalia Gawron-Hońca. Wybór ilustracji: Jakub Janik. Adiustacja: Witold Kowalczyk. Korekta: Aleksandra Pietrzyńska, Justyna Techmańska. Indeks: Tomasz Babnis. Opracowanie map: Anna Pietrzyk. Wydawnictwo Znak Horyzont, Kraków 2021, s. 410.

Między Sanokiem a Brukselą, wspomnienia o Marianie Pankowskim w setną rocznicę urodzin / Entre Sanok et Bruxelles, souvenirs sur Marian Pankowski aucentenairedesanaissance. Redakcja i tłumaczenie: Tomasz Chomiszczak, Dorota Walczak-Delanois. Projekt graficzny: Jakub Kinel. Miejska Biblioteka Publiczna im. Grzegorza z Sanoka w Sanoku, Sanok-Bruksela 2019, s. 168.

Krzysztof Mrozowski, *Duch Bractwa Orfickiego.* Ilustracje: Tomasz Bohajedyn. Okładka i typografia: Andrzej Tomaszewski. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2020, s. 268.

Jakub Skurtys, *Wspólny mianownik. Szkice o poezji i krytyce po 2010 roku.* Opracowanie graficzne: Malwina Hajduk. Fundacja na rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza, Wrocław 2020, s. 344.

Zofia Stamirowska, *Dziennik. Warszawa 6 września, 18października 1939.* Opracowała i podała do druku: Hanna Karpińska. Projekt okładki: Barbara Kuropiejska-Przybyszewska. Zdjęcia w książce pochodzą z archiwum rodzinnego Hanny i Wandy Karpińskich. Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, Warszawa 2020, s. 76.

Andrzej Zieliński, *Miecz i habit. Z dziejów zakonów rycerskich na ziemiach polskich*. Projekt graficzny okładki i stron tytułowych: Jacek Tofil. Opracowanie redakcyjne, korekty oraz Wydawca: Oficyna Wydawnicza RYTM Sp. z o.o. Warszawa 2016, s. 160.

* * *

Większość aktorów w jego wieku myśli o emeryturze, a on dopiero się rozkręca. 83-letni Anthony Hopkins za rolę w filmie »Ojciec« ma szansę na drugiego Oscara. Tak przeszywającego obrazu demencji jeszcze w kinie nie widzieliśmy – pisze **Artur Zaborski** w „Newsweeku", numer 12/2021.

Nie ma dla niego różnicy, czy wciela się w mężów stanu, czy w psychopatycznych morderców. Jednych i drugich traktuje równie poważnie, obdarza dobrymi manierami i ponadprzeciętną inteligencją. Nieraz spotykała go za to krytyka. Gdy wcielił się w Hitlera w »Bunkrze« (1981), nawet reżyser George Schaefer nie mógł pojąć, dlaczego chce grać nazistę bez potępiania go. – Bo to człowiek jak ty i ja – odpowiedział mu aktor. Podobnie było z jego najsłynniejszą rolą kanibala Hannibala Lectera. Choć gdy agent wręczył mu scenariusz z tytułem »Milczenie owiec«, aktor oburzył się: – Proponujesz mi rolę w filmie dla dzieci!?

Przekonało go nazwisko Jodie Foster w obsadzie, świeżo upieczonej laureatki Oscara za »Oskarżonych« (1988). Po przeczytaniu zaledwie 10 stron zadzwonił do agenta: – Nie przeczytam ani kartki więcej, dopóki nie zagwarantujesz mi, że mam angaż. To jest zbyt dobre. Żżarłby mnie żal, gdybym znał całość i nie mógł w tym zagrać.

Z Foster poznali się dopiero na planie, Hopkins był zestresowany. Choć miał już na koncie dziesiątki ról, nie czuł się zbyt pewnie w Hollywood, bo większość jego ról przeszła bez echa. Grał w serialach i filmach, o których dziś nikt już nie pamięta. Jego czas dopiero nadchodził, czego zapowiedzią miał być drugi Złoty Glob zdobyty w 1989 roku za zrobiony dla CBS film telewizyjny »Dziesiąty człowiek«, w którym zagrał zamożnego człowieka próbującego przekupić kogoś, kto pójdzie za niego na śmierć.

Hopkins był już wtedy po pięćdziesiątce, czyli w wieku, gdy wielu aktorów dramatycznych kończyło kariery. Gdyby tak się stało, jego największym sukcesem pozostałby nakręcony w 1979 roku »Magik«, za którego dostał pierwszy Złoty Glob. Wcielał się w brzuchomówcę, nad którym władzę przejmuje laleczka. Reżyser Richard Attenborough proponował mu przed zdjęciami spotkania z psychiatrami, żeby dowiedział się więcej o rozdwojeniu jaźni. Hopkins odmówił. Wolał bazować na wspomnieniach z własnego dzieciństwa, kiedy poczucie niedopasowania kazało mu zakładać maski i udawać kogoś, kim nie jest.

Tak wyglądała jego codzienność w Walii, gdzie dorastał w robotniczym miasteczku Port Talbot. Najprawdopodobniej miał dysleksję, dlatego nie szło mu w szkole. – W wieku czterech lat miałem wrażenie, że wszyscy mówią do mnie po chińsku. Nie rozumiałem innych i czułem się nierozumiany. Szybko odkryłem, że mam jednak talent: potrafię z łatwością naśladować osoby z otoczenia, zwłaszcza mimicznie. W domu byłem więc introwertycznym jedynakiem, a w szkole – kompulsywnym dowcipnisiem – zwierzał się prowadzącemu »Brian Linehan's City Lights« w 1978 roku". (...)

* * *

Dotychczas bycie człowiekiem opierało się na przeświadczeniu, że wartość jednostki bierze się z tego, jak wiele daje społeczeństwu. A co, jeśli ktoś niczego dać nie będzie w stanie? – pyta Kazuo Ishiguro, laureat Literackiej Nagrody Nobla 2017 roku.

W wydanej właśnie po polsku „Klarze i słońcu", swej pierwszej po Noblu powieści, Kazuo Ishiguro pyta, gdzie leży granica ludzkiej wyjątkowości. Bo skoro jesteśmy tylko algorytmami, których zachowania da się przewidzieć i zaprogramować, nic nie stoi na przeszkodzie, by stworzyć zastępczych nas? – pisze **Wojciech Engelking** w „Tygodniku Powszechnym", nr 13/2021.

Jest taki wspaniały fragment pod koniec »Sprawozdania dla Akademii« Franza Kafki. Czerwony Piotruś, złapana w Afryce małpa, która – dzięki tresurze i nauce osiągnęła »przeciętną kulturę Europejczyka«, teraz występuje przed gronem naukowców, zdając im świadectwo ze swojej »małpiej przeszłości«. Opowiada zgromadzonym, co czyni wieczorem po powrocie do domu z kabaretu, w którym jest zatrudniony. Wcześniej zaznacza, że zależało mu na znalezieniu pracy właśnie tam, nie w ZOO. To w tym celu tak pilnie się uczył być człowiekiem, a jego »małpia natura uchodziła (...), koziołkując, uciekała na łeb, na szyję«. Piotruś osiągnął sukces: gra w przedstawieniach, bywa na rautach i spotkaniach, a gdy wraca do mieszkania – to nie do pustego.

Czeka tam na niego »mała, na pół wytresowana szympansiczka, [z którą] oddaję się przyjemnościom naszej krwi«. Za dnia, dodaje Czerwony Piotruś, nie ma ochoty jej oglądać, bo widzi w niej zwierzę, jakim sam niegdyś był. Nocą: to co innego.

Kafka nie opisuje reakcji słuchających Piotrusia akademików, można jednak domniemywać, że była ona mieszanką rozbawienia i ulgi. Tak długo słuchali opowieści małpy o jej wyczynach w dziedzinie uczenia się, jak być człowiekiem, że nieomal uwierzyli, iż faktycznie mają przed sobą człowieka. Oczywiście: człowieka w skórze afrykańskiego zwierzęcia, włochatego jak zwierzę i z pazurami, niemniej – człowieka. Jeśli jednak sam Piotruś twierdzi, że przygodom erotycznym oddaje się z szympansicą, to człowiekiem wcale nie jest; jak można mu było uwierzyć, że się nauczył nim być? Jak można było uznać, że osiągnął to, co »nie byłoby może niczym samo w sobie, a jednak było czymś«?

Te właśnie pytania towarzyszyły mi podczas lektury »Klary i słońca«, która jest rozpisaniem problemów poruszonych w »Sprawozdaniu Akademii« na dziesięciokrotnie więcej stron, niż zapełnił Kafka. (...)

* * *

Mówią, że nie ma ludzi niezastąpionych, bo człowiek odchodzi, a potem ktoś go zastępuje i wszystko nadal się kręci. Nie jest to prawdą. Są ludzie niezastąpieni w każdej dziedzinie życia, w kulturze, sztuce, polityce, nauce. Niektórych nie da się zastąpić, mają taką charyzmę, wiedzę, charakter, sposób bycia, oddziaływanie na innych ludzi, że po nich zostaje pustka.

Do takich ludzi zaliczam Wojciecha Siemiona, podobnie jak np. Kisiela, Szymborską, Waldorffa, Holoubka, Kantora, Ciechowskiego, czy Niemena – pisze Jerzy Jankowski w „Żyrardowskich Zeszytach Literackich", numer 17/2020.

Pustka po Wojciechu Siemionie, który zginął w wypadku samochodowym 11 lat temu, jest widoczna w każdej dziedzinie, którą się zajmował. Znamy go z wielu filmów i seriali jak np. „Zezowate szczęście", „Skąpani w ogniu", „Wojna domowa", „Czterej pancerni i pies", „Kierunek Berlin", „Ziemia obiecana", „Filip z konopi", „Alternatywy 4" czy „Ostatnia akcja". Był aktorem charakterystycznym, można nawet powiedzieć – bardzo charakterystycznym. Pracował m.in. w Teatrze Ateneum, Teatrze Narodowym, Teatrze Powszechnym, wreszcie założył i bardzo długo prowadził jako dyrektor Teatr Stara Prochownia.

Ktoś nazwał go kiedyś żartobliwie „ostatnim świątkiem Rzeczypospolitej" i coś w tym jest. Podkreślał swoje chłopskie pochodzenie, był miło-śnikiem polskiego folkloru. W swoim staropolskim dworku w Petrykozach, niedaleko Żyrardowa, utworzył Wiejską Galerię Sztuki, miał tam też swój prywatny skansen z chatami wiejskimi, wia-trakiem, starymi budynkami drewnianymi. (...)

Po jego śmierci miejsce również umarło, zwłaszcza że zniszczył je dosyć tajemniczy pożar. Wojciech Siemion był osobą piszącą, wydał około dziesięciu książek, w tym znakomitą serię „Lekcja czytania", gdzie opisał jak recytować, czytać, rozumieć poezję znakomitych polskich poetów: Norwida, Mickiewicza, Gałczyńskiego, Różewicza, Białoszewskiego, Wata i Słowackiego. Należał do Związku Literatów Polskich, gdzie miałem okazję najczęściej się z nim widywać. (...)

Siemion był człowiekiem-instytucją. Wystarczyło powiedzieć „Siemion" i każdemu otwierały się szuflady ze skojarzeniami: aktor, głos, aksamitka pod szyją, Petrykozy, teatr, role chłopskie w filmach. One były chłopskie z charakteru, ale to nie znaczy, że grał tylko chłopów-rolników. Siemion grywał też urzędników, dyrektorów szkół, żołnierzy, ale zawsze to był Siemion. Aktorstwo typu Pieczki, Majchrzaka, Zapasiewicza, Peszka, Fijewskiego, Holoubka. (...)

Na pogrzebie były tłumy ludzi. Pomimo poważnego wieku jego śmierć była zaskoczeniem. 21 kwietnia 2010 roku, niedaleko Sochaczewa zjechał z prawego pasa i czołowo zderzył się z ciężarówką, zmarł trzy dni później. (...) Żył 81 lat. (...) W 2014 roku zorganizowałem w CK w Grodzisku Mazowieckim duży, ogólnopolski konkurs poetycki imienia Wojciecha Siemiona, w jury byli Marek Wawrzkiewicz – prezes ZLP i Andrzej Dębkowski – poeta i redaktor naczelny Gazety Kulturalnej. Gościem specjalnym była Pani Barbara Kasper-Siemion, żona Wojciecha Siemiona. W żyrardowskiej Resursie zorganizowaliśmy wraz z Jurkiem Paruszewskim kilka spotkań wspominających m.in. Wojciecha Siemiona, ostatnie w 2019 roku na Zaduszkach Poetyckich. (...)

Są bowiem ludzie, których zastąpić się nie da. Na przykład Wojciech Siemion.

Gazeta Kulturalna
Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący – **Andrzej Dębkowski**.
Współpraca: Józef Baran, Małgorzata Dębkowska, prof. Igancy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.
Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.
Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadamiania autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF", 98–113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677–41–56.